Nr 208· SOSNOWIEC, niedziela dnia 12 września 1915 roku. Rok X.

KURJER ZAGŁĘBIA

Adres Redakcji i Administracji: Sosnowiec, ul. Iwangrodzka Nr. 7.

Głód oświatowy.

Od roku już prowadzi się wytężona akcja społeczna dla ulżenia niedoli wielotysiącznej rzeszy głodujących biedaków. Ale obok tego fizycznego głodu, wywołanego strasznymi skutkami huraganu wojny, istnieje inny, chroniczny głód w nieszczęsnej Ojczyźnie naszej. Jest to: głód oświatowy. Jedną z największych zbrodni mongolsko-bizantyjskich zaborców naszych, były właśnie celowe i złośliwe zakazy zaspakajania przyrodzonego głodu oświatowego, na obszarze ujarzmionych ziem polskich.

Nie mówiąc już bowiem o wysokiej kulturze historycznej Polski w epoce, gdy Wschód schyzmatycki tonął jeszcze w mrokach ciemnoty barbarzyńskiej — śmiertelny uścisk niedźwiedzia północnego, dotknął nas właśnie w momencie zapoczątkowania nowej ery w dziedzinie oświatowej. Reforma Konarskiego, uchwały sejmu Czteroletniego z ustawą Trzeciego Maja, wreszcie niezapomniana Komisja Edukacyjna — wszystko to pozwalało wróżyć, że Polska pod względem rozkwitu oświaty i cywilizacji, nietylko dorówna najkulturalniejszym narodom zachodnim, ale je nawet znacznie wyprzedzi. Równocześnie zaś rozpoczęta przebudowa jednostanowej Rzeczypospolitej na wszechstanowe demokratyczne państwo, dawała rękojmię, że nowe słońce oświaty, będzie promieniowało na cały naród.

Tymczasem wschodni barbarzyńca, który nad nami roztoczył „władztwo ciemności“, wszystko to zdusił, roztratował ciężką stopą, zuchwale mniemając, że nas upodobni do siebie, czyli wprost wynarodowi, przez zniszczenie, aż do korzenia, starej, tysiącletniej cywilizacji łacińskiej. I do pewnego stopnia, zbrodnicza ta akcja powiodła się. Wszak po stu latach bytowania w zaborze rosyjskim, oparliśmy się wprawdzie wściekłym zakusom „najokrutniejszego, ale i najgłupszego z siepaczy“, (wedle określenia Mickiewicza), wynarodowienia, — ocknęliśmy się przecie wyrwani z jego szponów, jako naród okaleczały w zakresie poniekąd etycznym, bardziej jeszcze oświatowym. Ostatnie objawy t. zw. „bandytyzmu“ i przerażająca według statystycznych danych, liczba analfabetów w zaborze rosyjskim — oto bolesne *passiva* narodu pod kacapskiemi rządami.

*

A jednak, przez cały ten okres, wschodni nasz zaborca nie miał siły wytępić „głodu oświatowego“, jaki tkwił w całym narodzie, a nawet potęgował się i urastał w każdem nowem pokoleniu. Żądza oświecania się była, rzec można, wyssana z mlekiem matki w każdym prawie Polaku. Rozumie się, że ta przymusowa rusyfikacyjna oświata oficjalna, jaką po biurokratycznemu w celach wynarodowiania krzewiono, budziła zawsze wstręt i odrazę. Lud wiejski i miejski, dlatego jedynie odwracał się od szkółek elementarnych, że miał instyrktowe a więc i samozachowawcze uprzedzenie, do uczenia się w obcej i wrogiej mowie. Ilekroć przecie przytrafiła się sposobność nauki początkowej w języku ojczystym, natychmiast żywiołowo ujawniał się w całej pełni ów „głód oświatowy“.

Tak było w okresie *quasi* autonomicznego ustroju przed Powstaniem Styczniowem, gdy cały kraj pokrył się istną siecią początkowych szkół polskich. Podobnież nie zbywało na uczniach różnego wieku, płci i stanu, tym ofiarnym oświecicielom, którzy mimo grożące im represje, katakumbowo „nieśli przed narodem kaganiec oświaty“. Któż wreszcie nie ma podotąd w żywej pamięci krótkotrwałej „Polskiej Macierzy Szkolnej“, podczas istnienia której objawił się tak wspaniale niezgładzony, nigdy dostatecznie nie zaspokojony, polski „głód oświatowy“?

*

Co było i jest zdumiewające w każdorazowej akcji społecznej na rzecz zaspokojenia „głodu oświatowego“ — to bezwzględna jednomyślność w połączeniu z hojną, iście magnacką ofiarnością całego narodu, na rzecz oświecicielstwa polskiego. Jeżeli bowiem rząd rosyjski wskutek pewnych konjunktur natury politycznej, rozluźniał niekiedy pęta rusyfikacyjne w zakresie szkolnictwa — nigdy przecież złamanego szeląga na uczelnie polskie nie asygnował. Wiadomo zaś, że skonfiskowane przez zaborcę fundusze b. Komisji Edukacyjnej, w postaci olbrzymich dóbr, kamienic i kapitałów, w obliczeniu na dzisiejszą walutę i szacunek ziemi, przedstawiają wartość kilkuset miljonów rubli. Ani grosza jednak z tego; zagrabionego nam dobra, wytworzonego z ofiarnych zapisów magnatów i filantropów polskich, przywłaszczyciel nie zwrócił. Mniemał może w złośliwem swem barbarzyństwie, że polskie szkolnictwo nie ostoi się z braku niezbędnych w każdym kraju kulturalnym *subsydjów*, udzielanych przez skarb państwowy.

Nastąpił srogi zawód. Społeczeństwo samo wzięło na siebie ów, istotnie wielki ciężar finansowy i od magnata aż do najbiedniejszego wyrobnika, wszyscy spieszyli z ofiarnym groszem na zakładanie i utrzymywanie uczelni polskiej. Wszyscy bowiem rozumieli, że zaspokoić „głód oświatowy“, to najważniejszy obowiązek narodowy każdego prawego syna Polski.

*

Przed laty z górą czterdziestu, jeden z t. zw. warszawskich pozytywistów, a pionierów „pracy organizacyjnej“ znękanego narodu, rzucił hasło „do walki z ciemnotą“ w tych pamiętnych słowach:

> Nie tej, co pośród dzikiej zamieci
> Ogniem i mieczem burzy i straszy;
> My chcemy walki, co kraj oświeci
> Od piwnic, aż do poddaszy.

Niestety „ciemnota“ miała przemożnego sprzymierzeńca w biurokracji rosyjskiej, która najniegodziwszemi środkami dawała jej oparcie mechaniczne, stawiała tamy przeciw zaspokojeniu głodu oświatowego. Dziś Warszawa po ustąpieniu sprzymierzeńca ciemnoty i barbarzyństwa, wypowiada wielki bój analfabetyzmowi, stanowiąc doraźni prawo o obowiązkowem powszechnem nauczaniu. Mimo tylu palących potrzeb, wymagających olbrzymich wydatków, nie odłożono najdonioślejszej sprawy, tak ściśle związanej z odrodzeniem narodowem, lecz natychmiast wstawiono do budżetu miejskiego etat szkolny w sumie około dwuch miljonów rubli. Jeżeli zaś to nie wystarczy, ofiarność publiczna, brak z pewnością uzupełni.

To wielki czyn polski, którego nikt nie ośmieli się kwestjonować. Przykład zaś stolicy musi oddziałać na wszystkie środowiska społeczne w całym kraju. Nie wątpimy ani na chwilę, że i nasza dzielnica, czyli Zagłębie, będzie jedną z pierwszych, która w możliwie najszybszem tempie, zorganizuje powszechne nauczanie. Nie zbywa przecież w tutejszem społeczeństwie na działaczach czujnych i ofiarnych, gdy się rozchodzi o *bonum publicum*, zwłaszcza w duchu narodowym. Ciężkie wprawdzie są warunki w jakich od roku przeszło bytuje unieruchomione w ekspansji przemysłowej, Zagłębie. Skoro jednak sto-

lica Polski, mimo podobnie wielce niepomyślnych konjunktur ekonomicznych, zdobyła się na wielkie przedsięwzięcie kulturalno-narodowe, mamyż pozostać głuchymi na jej wezwanie, na jej gromki apel, zwrócony do wszystkich uspołecznionych synów Matki-Ojczyzny?

Jesteśmy najmocniej przekonani, że Zagłębscy działacze społeczni podejmą możliwie najspieszniej odpowiednie starania, aby i tu zorganizować powszechne obowiązkowe nauczanie. Obok skutecznego, jak dotąd, zapobiegania następstwom głodu fizycznego, należy w sprzyjającej chwili, rozwinąć wszystkie wskazane środki i sposoby, aby równocześnie został zaspokojony i „głód oświatowy".

A. Werytus.

Z widowni wydarzeń.

Na wszystkich terenach.

Na wschodnim terenie sprzymierzone armje niemiecko-austrjackie posuwają się w dalszym ciągu naprzód, odnosząc coraz to nowe zwycięstwa. Obecnie najzaciętsze walki toczą się nad dolną Dźwiną koło Rygi, na zachód od stolicy Litwy Wilna, na południowy wschód od Grodna, gdzie zdobyto w tych dniach Wołkowysk, nad rzeką Jasiołdą oraz na wschód od Dubna, które zdobyli onegdaj Austrjacy. Rosjanie przygotowują się tymczasem do wielkiej ofensywy pod naczelnem dowództwem samego cesarza Mikołaja. Jakie są zdolności strategiczne nowego „generalissimusa" — okaże się w niedługim czasie.

Na zachodnim terenie po trwającej kilka miesięcy ciszy, operacje zaczynają się powoli ożywiać. Na całym froncie rozpoczęły się utarczki. Niemcom udało się onegdaj odnieść w Argonach znaczne zwycięstwo nad Francuzami i zdobyć silny fort „Marja Teresa". Z górą 2000 Francuzów dostało się do niewoli; nadto w ręce zwycięzców wpadło kilka amat i 50 karabinów maszynowych. Pozatem toczą się jak zawsze walki w powietrzu. O rozpoczęciu zapowiedzianej ofensywy francusko-angielskiej nic jakoś nie słychać.

Na południowym terenie Włosi wznowili swą, dotychczas daremną, działalność. Wykonali oni szereg gwałtownych ataków na pozycje austrjackie pod Burgstale—ponosząc dotkliwe straty. Na pograniczu tyrolskiem trwa walka artylerji.

Z Dardaneli od dłuższego czasu niema żadnych wiadomości. Należy przypuszczać, że położenie na półwyspie Gallipoli pozostaje bez zmiany, t. j. że toczą się w dalszym ciągu uciążliwie walki pozycyjne.

Na Kaukazie — cisza. Dokonywa się tu nowe ugrupowanie armji rosyjskiej pod dowództwem w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, który zamierza rozwinąc energiczniejszą akcję przeciwko Turkom.

Pol.

Na Wschodzie.

Komunikat niemiecki.

BERLIN. (BTW.). Z głównej kwatery donoszą d. 10 września:

Grupa armji feldmarszałka Hindenburga.

W walkach na południowy wschód od Friedrichsstadt i koło Wilkomierza nasze oddziały wzięły kilkaset jeńców Zresztą pomiędzy Baltykiem, a Niemnem koło Merecza, sytuacja jest w ogólności niezmieniona.

Koło Skidel i w odcinku Besianki walka trwa jeszcze. Wzgórze koło Piesków (nad Zelwianką) zostało zdobyte. W ciągu dnia wzięto do niewoli 1400 jeńców i zdobyto 7 karabinów maszynowych.

Grupa armji księcia Leopolda Bawarskiego.

Grupa armji atakuje stanowiska nieprzyjacielskie nad górną Zelwianką i na wschód od Rożanki. Olszanka została zdobyta.

Grupa armji feldmarszałka Mackensena.

„Nasze ścigające kolumny zbliżają się do dworca kolejowego Kossów na drodze Kobryn—Wiłowidy. Po obu stronach linji kolejowej od Pińska doszliśmy do linji Tułatycze — Owcycze.

Na południowo-wschodnim terenie walk wojska niemieckie odrzuciły Rosjan z Buzniowa (nad Seretem) na południe od Tarnopola. Na południowy zachód od Buzniowa i koło Tarnopola odparłszy silne ataki nieprzyjacielskie".

Komunikat austrjacki.

WIEDEŃ. (BTW.) Urzędowo donoszą dnia 9 września:

„Atak nasz na Wołyniu postępuje naprzód.

Wczoraj przełamany został front rosyjski na północ od Ołyki.

Drugi punkt wołyńskiego trójkątu fortecznego, Dubno, został wczoraj wzięty. Do miasta wjechała wczoraj po południu austrjacka kawalerja zapasowa. Forty zagradzające dostęp położone w górę rzeki, znajdują się w naszem posiadaniu.

Armja generała Boehm Ermollego dotarła do górnej Ikwy i do Nowo-Aleksińca.

Siły rosyjskie, które przedarły się w okręgu na zachód od Trembowli przez Seret, po większej części zostały odrzucone. W walkach, które były prowadzone z przewagą nieprzyjacielską, szczególnie skuteczne ataki wykonały bataljony gwardji niemieckiej znajdujące się pod wodzą pułkownika Leu.

Nad dolnym Seretem i nad Dniestrem panuję względny spokój.

Podczas walk, o których donosiliśmy wczoraj, a które zakończyły się zdobyciem pozycji nieprzyjacielskiej Nowo-Siołka — Kostenkowa, wzięła wyróżniający się udział kawalerja pod dowództwem feldmarszałka-porucznika Brudermanna.

Austrjacko-węgierskie siły wojenne, walczące w okręgu Jasiołdy zyskały część okolicy Michalina, na południe od Reżan".

Na Zachodzie.

Komunikat niemiecki.

BERLIN (BTW) Z głównej kwatery donoszą dn. 10 września.

„Na północ od Souchez zdobyty został wysunięty rów francuski. Załoga padła w walce na bagnety, z wyjątkiem kilku jeńców.

W Wogezach zostały zdobyte rowy, leżące niedaleko naszych stanowisk, koło Schratzmännle i Hartmannsweilerkopf, przyczem wzięto do niewoli 2 oficerów, 109 żołnierzy, zdobyto 6 karabinów maszynowych, oraz 1 aparat do rzucania min. Kontratak koło Schratzmännle został krwawo odparty".

Na Południu.

Komunikat austrjacki.

WIEDEŃ. (BTW.) Urzędowo donoszą dnia 9 września:

„Ogólny spokój—trwa.

W okręgu Schluderbach wojska nasze przepędziły za pomocą ognia słabe oddziały nieprzyjacielskie, które napadły na nasze stanowiska Popena.

Również dwie kompanje włoskie, które zaatakowały pozycje czołowe w okręgu Paralba, zostały odparte.

Patrole nieprzyjacielskie, które chciały się wdrapać na Monte Ciadenis, zostały odpędzone strzałami".

„Polityka i politykomanja".

Pod takim tytułem A. Niemojewski pisze w swoim organie: „Uprawiać ideologję polityczną, a organizować politycznie społeczeństwo, to są dwie różne rzeczy. Organizowaniem społeczeństwa, wprawdzie niepolitycznem, ale dla przyszłej polityki jedynie płodnem, zajął się Komitet Obywatelski. Takiej organizacji dokonała Straż Obywatelska, instytucja zupełnie niepolityczna, ale tak potrzebna miastu, jak organizmowi ręka.

Takiej organizacji dokonali ludzie, zajmujący się naszą oświatą. Jeżeli w przyszłości naród nasz otrzyma jakąś samorządność, na tych właśnie instytucjach owa samorządność przedewszystkiem się oprze. To jest dziś jedyną polityką. A cała reszta jest politykomanią.

Te właśnie organizacje skupiają nas, wyrabiają, uczą działania, a nie gadania, wciągają ludzi do pracy według ich uzdolnienia, a nie według ich filozoficznych poglądów na położenie Polski w świecie. Tymczasem rozmaite „bloki" partyjne uczą nas tylko kłótni o idee i rozłamów. Organizacje pierwsze działają na nas umacniająco i pokrzepiająco, gdy organizacje drugie demoralizująco i deprymująco. Za kim opowiada się naród — mówi nam rzeczywistość. Uznaje i popiera Komitet Obywatelski i Straż Obywatelską, oraz wszystkie instytucje, pracujące w ich duchu.

Słusznie powiedziano nam i to oficjalnie, że gdy wre wojna, nie da się przewidzieć przyszłości. Ale to można wiedzieć napewno, że jeżeli w chwili decydującej naród nasz będzie wewnętrznie zorganizowany, stanowić będzie, jako ciało, coś tęższego i bardziej zwartego, a przeto samodzielniejszego. Kto to zrozumiał, ten już będzie wiedział, czy filozofować razem z rozmaitymi blokami, czy też zakasać rękawy i pracować twórczo razem z naszemi instytucjami narodowo-obywatelskiemi.

Nie ulega jednak wątpliwości, że ogół narodowy już się zdecydował. A reszta zależy od losu".

Z chwili.

Wobec rozpoczęcia nowego roku szkolnego, w kółkach rodzinnych toczą się ożywione dyskusje: czy nauka języka rosyjskiego jest potrzebna, czy też nie?

Ludzie różnie się na tę kwestję zapatrują. O ile jednak mogliśmy zbadać opinję publiczną, po ważna większość jest za utrzymaniem w szkole języka rosyjskiego jako przedmiotu. „Moskalofile" owi słusznie mówią, że znajomość języków najbliższych sąsiadów, Niemców i Rosjan, z którymi bez względu na wynik obecnej wojny, Polacy będą musieli utrzymywać stosunki — jest pożyteczną ze względów ekonomicznych.

Inaczej jednak sądzą przeciwnicy tego poglądu. Twierdzą oni, że honor narodowy nie pozwala, ażeby zmuszać dzieci do ślęczenia nad barbarzyńską gwarą długoletnich ciemiężców narodu polskiego. Względy praktyczne wcale ich nie obchodzą.

Głosy te usilnie popierają pp. Izraelici. Oto naprzykład, co pisze wychodząca w Warszawie „Nowa Gazeta", organ pp. Kempnerów:

„Przemysł nasz, jeżeli chce się rozwijać, to musi się zrosnąć bliżej z ziemią naszą, na rynki więc wschodnie nie powinien liczyć. Co do handlu zaś, to gdybyśmy nawet stanęli na gruncie dotychczasowych naszych stosunków handlowych z Rosją — czyż słusznem jest, abyśmy dla przygotowania kilku czy kilkunastu tysięcy komiwojażerów, władających językiem rosyjskim, zabierali czas miljonowi młodzieży".

W odpowiedzi na powyższe wywody jeden z dzienników warszawskich oświadcza, że przypominają one anegdotkę o pewnym szlachcicu polskim, który utrzymywał, że znajomość geografji jest niepotrzebną:

„Po co geografja — mówił — Jak powiem stangretowi, dokąd ma jechać, to wszędzie trafi bez żadnej geografji".

My też będziemy mieli sposobność wyręczania się w Rosji... komiwojażerami. Po co więc się uczyć języka rosyjskiego? Będą tacy, co się za siebie i za nas — nauczą.

*

Jak wiadomo, Wydział Oświecenia w Warszawie, znosząc bardzo słusznie wykład języka rosyjskiego w uczelniach ludowych, utrzymał go w szkołach średnich z tem jednak zastrzeżeniem, że uczęszczanie na lekcje języka rosyjskiego zależy od życzenia rodziców ucznia.

Donosząc o postanowieniu Wydziału Oświecenia, „Deutsche Warschauer Zeitung" zamieszcza następującą uwagę: „Cesarsko-niemiecka administracja cywilna stoi zresztą na tem stanowisku, że z powodów ekonomicznych język rosyjski możnaby zastosować obok niemieckiego w szkołach polskich, jako przedmiot obowiązkowy".

Tak pisze niemiecki organ półurzędowy, któremu nikt chyba „moskalofilstwa" nie zarzuci.

m. r.

Z dnia na dzień.

Dn. 11/IX.

Z Sosnowca.

— **Zakaz puszczania latawców** Nadeszła pora, w której młodzież z zamiłowaniem zajmowała się latawcami papierowymi. Niewinnej tej zabawy i tym razem musi sobie odmówić, gdyż zatrzymał moc obowiązującą wydany w roku zeszłym przez władzę wojskową zakaz puszczania latawców. Jeszcze jedna okoliczność odgrywa tym razem rolę a mianowicie nakazane oszczędne obchodzenie się ze szpagatem.

— **Komitet żywnościowy** podaje do wiadomości, że poczynając od poniedziałku dnia 13 b. m. chleb będzie sprzedawany w ilościach 3 funty tygodniowo na osobę.

— **Losy loteryjne.** Za pozwoleniem władzy, na ręce prezesa Chrześc. Tow. Dobroczynności ks. Fr. Raczyńskiego, zostały przysłane do rozsprzedaży losy loterji dobroczynnej, jaką zorganizował „Komitet niesienia pomo-

cy ofiarom wojny w Król. Polskiem" mający swą siedzibę w Poznaniu. Losy loteryjne, w cenie jednej marki za sztukę, są do nabycia i w kantorze administracji „Kurjera Zagłębia".

— **Ze Straży ogniowej.** Jutro w niedzielę o godzinie 5 ej po południu na placu obok remizy odbędą się ćwiczenia Straży ogniowej ochotniczej.

— **Język niemiecki.** Dla osób, które pragną możliwie szybko i dokładnie posiąść znajomość języka niemieckiego, zalecamy skorzystać z pomocy doświadczonego i rutynowanego lingwisty, jakim jest p. Józef Majdrowicz doktorant praw uniwersytetu wiedeńskiego. Przyswoił on sobie nową metodę, ułatwiającą zdobycie znajomości języka niemieckiego w krótkim stosunkowo okresie czasu. Metoda owa polega na zbiorowej wspólnej konwersacji i specjalnych ćwiczeniach, pewnej grupy osób. Oczywiście, że zbiorowość ta nader uprzystępnia opłatę za przejście niezbędnego cyklu lingwistycznego

— **Benefis p. Z. Mrozowickiej.** W przyszłą niedzielę dnia 19 września w teatrze Zimowym odbędzie się benefis p. Zofji Mrozowickiej. Odegraną zostanie 3-aktowa sztuka Schnitzlera „Miłostka".

— **Popis artystyczny dziatwy.** W niedzielę dnia 19 b. m. w Domu Ludowym przy ul. Kościelnej odbędzie się popis artystyczny dziatwy. Na program złożą się: śpiewy, tańce, ćwiczenia gimnastyczne oraz jednoaktówka „Za słońcem".

— **Robotnicy z Warszawy.** Wczoraj wieczorem przejechała przez Sosnowiec via Modrzejów pierwsza partja robotników z Warszawy licząca 600 osób, do robót w kopalni na Górnym Śląsku.

— **Wolą bony.** Wieśniaczki, które przybyły wczoraj na targ z dalszych okolic, odmawiały przyjmowania od wielu kupujących papierowych banknotów rosyjskich, natomiast wolały przyjmować banknoty niemieckie i bony.

— **Brukowanie ulicy.** W bieżącym tygodniu przystąpiono do robót brukarskich na ulicy Fabrycznej.

— **Nie udało się.** Onegdaj zbiegł z aresztu S. Witkowski, oskarżony o udział w kradzieży u Winera. Złodzieja pochwyciła tegoż samego dnia milicja miejska przy pomocy patrolu wojskowego.

— **W „Kino Wiktorji"** (gmach teatru Zimowego) wśród zajmujących obrazów demonstrowany będzie dziś i jutro dramat w 3 wielkich częściach, osnuty na tle obecnej wojny p. t. „Ojczyzna nas woła".

— **W „Zaciszu" i „Kino-Oazie"** nowy program obrazów. Szczegóły w ogłoszeniach.

Z Będzina.

+ **Teatr w „Corso".** Jutro w niedzielę zjeżdża do Będzina zespół aktorów teatru Popularnego z Sosnowca. Zespół ten pod reżyserją p. W. Galickiego, odegra w sali teatru „Corso" sztukę St. Przybyszewskiego p. t. „Dla szczęścia".

Z Dąbrowy.

+ **Lekarze miejscy i okręgowi.** Komenda obwodowa mianowała lekarza Marjana Wieczorkiewicza lekarzem miejskim w Dąbrowie, Marcelego Białostockiego lekarzem okręgowym w Strzemieszycach, a Edwarda Oziemblę lekarzem okręgowym w Żarkach. Do okręgu sanitarnego w Strzemieszycach należą gminy: Rokitno, Łosień, Gołonóg, Zagórze i Niwka, do okręgu sanitarnego w Żarkach należą gminy: Choroń i Niegowa, Żarki, Włodowice i Kromołów. Należy zatem odtąd przesyłać doniesienia o chorobach zakaźnych nietylko komendzie Obwodowej, lecz także lekarzowi odnośnego okręgu sanitarnego względnie lekarzowi miejskiemu.

+ **Szczepienie ospy.** Władze polecily przełożonym szkół, aby zbadali jeszcze raz czy wszystkie dzieci mają szczepioną ospę, w przeciwnym razie lekarz dokona szczepienia.

+ **Kółka dramatyczne.** W Dąbrowie od pewnego czasu istnieje kółko miłośników sceny pod kierunkiem p. H. Kozłowej. Niedawno zawiązało się nowe koło amatorskie pod kierunkiem p. Bonara. Czy to nie zawiele na jedną Dąbrowę?

+ **Komitet pośrednictwa pracy** przy Radzie gminnej potrzebuje natychmiast górników i pomocników do kop. „Klimontów" O warunkach płacy można się dowiedzieć w biurze Komitetu ul. Klubowa 22 w godzinach między 9-tą a 12-tą przed południem.

Komitet ogłasza, iż są do odebrania pieniądze i dowody dla następujących osób: z kop. Fürst. Pless Grube dla Styczyńskiego Jana (dowody) z kop. Gottessegen—Grube dla Morysa Konstantego (dowody i pieniądze); z fabr. A. Ordona dla Derdy Antoniego (dowody) i Trochy Ignacego (dowody); z kop. Cleophas—Grube dla Dąbrowskiego Konstantego (pieniądze); z kop. Neu—Gluckauf—Grube dla Trzcionki Romana (dowody) i Bednarskiego Antoniego (dowody).

+ **Drożyzna ubrania.** Drożyzna ubrań z każdym dniem wzrasta. Obecnie krawcy za lichy garnitur żądają 25 rubli, za palto zaś 35 rb..

+ **Przepisy dla nauczycieli.** Nauczyciele otrzymali od naczelnika obwodu dąbrowskiego przepisy służbowe, składające się z 40 paragrafów.

+ **Brak kartofli.** W magazynie żywnościowym przy zakładach Huty Bankowej w bieżącym tygodniu wstrzymano sprzedaż kartofli z powodu braku tego artykułu pierwszej potrzeby.

Z Gołonoga.

+ **Z odpustu.** Dnia 8-go b. m. w dzień święta parafjalnego w miejscowym kościele parafjalnym odprawiona została uroczysta Suma, którą celebrował ks. prałat G. Augustynik z Dąbrowy. Ludu pobożnego ściągnęło na odpust wiele przeważnie z Dąbrowy i Strzemieszyc.

Z Niemiec.

Dwa tygodnie temu powróciły z Warszawy, gdzie zastały ich wypadki wojenne, żony urzędników Warszawskiego Towarzystwa kopalń węgla. Dyrektor zarządzający p. J. Strasburgier wyjeżdża na stałe do Warszawy.

Ceny na produkty spożywcze ciągle skaczą w górę. 4-o funtowy bochenek chleba w magazynie zarządu kosztuje 35 kop., tenże chleb w sklepie spożywczym 55 kop., a w sklepach prywatnych — 75 kop. Magazyn zmniejszył porcję chleba do 2 i pół funta tygodniowo na głowę. Zmniejszono również racje owsa dla koni.

Ze Sławkowa.

+ **Zabawa ludowa.** Jutro w niedzielę w Jażach pod Sławkowem odbędzie się wielka zabawa ludowa na cel dobroczynny.

Z Warszawy.

Prezes Trybunału ogłosił rozkaz władz niemieckich, według którego, wobec rozciągnięcia na Warszawę organizacji sądowej, obowiązującej na pozostałym terenie okupowanych ziem Królestwa Polskiego działalność Sądów Obywatelskich ustała.

Wyznaczone na piątek posiedzenia sądowe wobec powyższego rozkazu nie doszły do skutku. Gmachy sądowe mają być przekazane władzom niemieckim dziś w sobotę. Sądy obywatelskie funkcjonowały od 5-go sierpnia. W d. 10-ym września żywot swój zakończyły.

*

W nadchodzącą niedzielę odbędzie się uliczna sprzedaż „Orzełka" na głodnych, wspieranych przez Komitet Obywatelski. Liczba głodnych wzrasta przerażająco.

*

Niemiecka intendentura zawiadomiła sekcję żywnościową Komitetu obywatelskiego, że przeznaczona dla Warszawy mąka z fortecy w Modlinie, pozostawiona przez Rosjan, może być wydana na potrzeby ludności miejskiej, z warunkiem, że miasto lub Komitet obywatelski swym kosztem zorganizuje przewóz mąki do Warszawy końmi.

*

Na wezwanie Komisarjatu VIII-go okręgu właściciele domów, chrześcijanie w tym okręgu, opodatkowali się dobrowolnie na rzecz milicji. Właściciele zaś domów, żydzi, jak piszą gazety żydowskie, odmówili uiszczania podatku, pod pozorem, że im się nie podoba obchodzenie się milicji z żydami.

*

Cesarsko-Niemiecki urząd gubernjalny polecił zarządowi miasta Warszawy niezwłocznie przystąpić do naprawy mostu Kierbedzia. Naprawa mostu ma być ukończona przed zimą.

*

Sąd polowy przy Urzędzie Gubernjalnym skazał na śmierć dnia 4 września 1915 r. oskarżonych o szpiegostwo przeciwko armji niemieckiej: Piotra Ryschkina, Stefana Szymańskiego, Wasilia Pietraka, Czesława Niemożykiewicza. Skazani zostali rozstrzelani w dn. 8 b. m.

Wielka pożyczka.

Projekt wypuszczenia przez zarząd Warszawy pożyczki miejskiej w sumie 5,000,000 rb. i niezależnie od tego „bonów" na sumę również 5,000,000 rb. uzyskał zatwierdzenie władz niemieckich.

Pożyczka, wedle rzeczonego projektu, ma być oparta na całym majątku i dochodach miasta, z pierwszeństwem przed wszystkiemi innemi zobowiązaniami i przynosić ma 6 procentu, nie obciążonego podatkiem od kuponów.

Celem pożyczki jest zabezpieczenie miastu środków na zakup artykułów najniezbędniejszych dla ludności oraz na pokrycie najpilniejszych potrzeb budżetowych miasta.

Będzie ona wypuszczona w obligacjach z arkuszami kuponowemi, obejmującemi 30 kuponów, tj. na cały czas do ostatecznego umorzenia pożyczki.

Spłata pożyczki nastąpi drogą amortyzacji, rozpocząć się mającej po latach dziesięciu, i będzie dokonana w przeciągu lat pięciu po miljonie rocznie, przez losowanie.

Z różnych stron.

☐ **20 miljonów strat.** Do pism krakowskich donoszą, że przybył do Moskwy ordynat Maurycy hr. Zamoyski. Opowiada on, że straty w majątkach jego w Lubelskiem i w Chełmszczyźnie dochodzą do dwudziestu miljonów rubli.

☐ **Z Kalisza.** Przed wojną Kalisz liczył przeszło 70,000 mieszkańców, z czego żydów 22,000; obecnie jest tam 24,000 mieszkańców, z czego żydów 12,000. Procent żydów urósł zatem wskutek wojny z 31¹/₃% na 50%. Stan ekonomiczny jest opłakany. Przed wojną przemysł hafciarski był w rozkwicie. Większość fabryk należała do żydów. Liczba robotników razem z rodzinami wynosiła około 20,000, z czego żydów 9000. Obecnie przemysł ten upadł całkowicie. Z 340 zburzonych domów, jest 170 żydowskich.

☐ **Zakończenie procesu hr. Kwileckich.** „Berl. Tagb." donosi z Wrocławia: „Żona stróża kolejowego Mayerowa po wyroku wydanym przez wyższy sąd we Wrocławiu, cofnęła swą skargę. W ten sposób długoletni proces został zakończony, a hr. Józef Kwilecki uznany prawnym spadkobiercą majoratu Kwileckich".

☐ **Ujęcie zbiega rosyjskiego.** We wrześniu roku zeszłego w lasach Łabiszyńskich w Poznańskiem ujęto nieznanego mężczyznę. Na wszelkie pytania, stawiane mu przez policję, odpowiadał gestami. Ostatecznie uwierzono, że jest niemową i oddano go w służbę. W ostatnim czasie zaczęto się nim bliżej zajmować i kazano go otfotografować. Wielkie wywołało zdziwienie, gdy razu pewnego niemowa przemówił po rosyjsku. Aresztowano go ponownie pod zarzutem szpiegostwa i odesłano do więzienia wojskowego. Zeznał, że jest rosyjskim właścicielem ziemskim i zbiegł, nie chcąc być powołanym pod broń.

☐ **Z Dumy.** „Riecz" donosi, że 210 członków Dumy utworzyło lewy blok, jako przeciwwagę reakcyjnemu czarnemi blokowi. Dążeniem nowego bloku jest zupełna zmiana rządu i utworzenie liberalnego parlamentu, któryby z pożytkiem dla narodu pracował.

☐ **Cenne obrazy.** „Daily Chronicle" donosi, że na zlecenie hr. Tołstoja, dyrektora słynnej piotrogrodzkiej galerji obrazów „Ermitaż" wywieziono już wszystkie cenniejsze obrazy wraz ze skarbami Aleksandrowskiego muzeum do Moskwy. Publiczności obwieszczono, że muzea wskutek reperacji będą na czas dłuższy zamknięte.

Trzy Msze w Zaduszki.

Z dekretu Ojca św. o możności odprawienia w dzień Zaduszny trzech Mszy św. przez każdego kapłana przytaczamy najgłówniejsze punkty:

I. Wolno wszystkim kapłanom w dzień Zaduszny odprawić trzy Msze św. z tem jednak zastrzeżeniem, że jedną z trzech Mszy mogą ofiarować za kogo zechcą i przyjąć na nią jałmużnę; bez jałmużny zaś winni ofiarować drugą Mszę św. za dusze wszystkich zmarłych, a trzecią na intencję przez Ojca św. dostatecznie wyłuszczoną (za poległych w obecnej wojnie).

II. Koncesję poprzednika naszego, Klemensa XIII, Listem z dnia 19 maja 1761 udzieloną a opiewającą, że wszystkie ołtarze w dzień Zaduszny są uprzywilejowane, powagą Naszą, o ile zachodzi potrzeba, zatwierdzamy.

III. Trzy Msze św., o których mówiliśmy wyżej, odprawić należy tak, jak ś. p. poprzednik nasz, Benedykt XIV, przepisał dla Hiszpanji i Portugalji.

Kto jedną tylko odprawić pragnie Mszę św., użyje z mszału formularza na dzień Zaduszny; ten sam formularz weźmie, kto odprawia Mszę św. śpiewaną; dwie inne Msze św. wolno mu odprawić poprzednio.

„W końcu wyrażamy to przekonanie—opiewa dekret papieski—że wszyscy całego świata katolickiego kapłani, lubo w dzień Zaduszny i jedną tylko mogą odprawić Mszę św., jednak chętnie i gorliwie skorzystają ze znamienitego przywileju przez Nas udzielonego. Usilnie zaś wzywamy wszystkich synów Kościoła, by, pomni na obowiązek, który wobec braci w czyścu cierpiących z wielu mają względów, w dniu tym licznie i pobożnie we Mszach św. uczestniczyli. W ten sposób corocznie wiele bardzo dusz wskutek potężnego strumienia, płynącego z tylu zbawiennych źródeł do czyśca, domieści się do szczęśliwych niebian tryumfującego Kościoła. Ustanowieniu zaś niniejszego Listu Apostolskiego nadajemy moc i trwałość na zawsze, bez względu na jakąkolwiek ustawę wydaną przez poprzedników Naszych o kilku Mszach w jednym dniu odprawianych".

DOKOŁA WOJNY.

✕ **Ewakuacja Rygi.** Kopenhaska „Politiken" donosi z Piotrogrodu: „Na dworcu ryskim stoi długi szereg wagonów, naładowanych najrozmaitszemi przedmiotami z opuszczonej okolicy, gotowych do odjazdu. Czynią się przygotowania do wyjazdu policji; ryskie biura policyjne już od dawna są pozamykane. Z robotnikami, których już od dłuższego czasu się wysyła, odjeżdżają także lekarze i personel szpitalny".

✕ **Trzecia część artylerji stracona.** Z Piotrogrodu donoszą: Minister wojny oświadczył w radzie państwa, że trzecia część artylerji rosyjskiej została stracona.

✕ **Na Kaukaz.** Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz wyjechał już na Kaukaz.

✕ **Sytuacja nad Isonzo.** „Voss. Zeit." pisze: „Generał Porewicz, dowódca armji austro-węgierskiej, walczącej nad rzeką Isonzo we Włoszech, powiedział do korespondentów wojennych: „Mogę panów zapewnić, że sytuacja nasza jest bardzo korzystna i dotychczasowe wyniki walki świetne. Lepszych nie pragnąłem".

Wojna ludów.

Publicysta niemiecki Otto Schultz w tygodniku „Der. Tag." charakteryzuje różnice zachodzące między dawniejszem a obecnem prowadzeniem wojen.

„Dziś okazuje się, powiada autor, że ani siła armji w początkach wojny, ani kwota pieniędzy tak bardzo nie wchodzi w rachubę, jak inne środki gospodarcze. Przedewszystkiem armje zolbrzymiały. Gdy w przededniu wojny przy uwzględnieniu przeprowadzonych wszędzie reform militarnych, siły Niemiec obliczano na 4 miljony, Austrji na 2,3 mil., Rosji na 5,5, Francji na 4, Anglji na 0,5 miljona ludzi, w rzeczywistości w ciągu wojny Niemcy, Austrja i Rosja wystawiły dwa razy tyle, a Anglja jeszcze więcej.

Do tej pory uznawana była bezwzględna konieczność jak najstaranniejszego wyćwiczenia armji w służbie 2- do 3-letniej. Dziś—zamiast 2 do 3 at, wystarczą 2 do 3 miesięcy i to nowe wojsko na ogół nie wiele tylko ustępuje żołnierzom wyćwiczonym w dwu- i trzyletniej służbie.

Słowem, armje zamieniają się na milicje. Nie tylko wyćwiczeni żołnierze—cały naród, o ile jest zdolny do noszenia broni, staje do walki, a decyzja zależy od tego, która strona najpierw zdoła wystawić nowe wyćwiczone rezerwy. To zaś zależy od siły gospodarczej, a przedewszystkiem przemysłu.

Armja nie składa się tylko z ludzi i koni, lecz także z broni, amunicji, mostów, pontonów, instrumentów najróżniejszego rodzaju, żywności konserw, namiotów, lazaretów, środków lazaretowych itd. To wszystko musi istnieć w potrzebnej ilości dla utrzymania armji w stanie należytym.

Im więcej państwo jest rozwinięte wszechstronnie pod względem gospodarczym i przemysłowym, tem lepiej może wyposażyć swe wojska i tem dłużej walczyć z powodzeniem. Państwa nieprzyjacielskie, które mają otwarte rynki wszechświatowe i mogą z nich korzystać według upodobania, znajdują się w korzystniejszem położeniu.

Mogą zaopatrywać się w żywność, broń i amunicję, pokrywając to zapotrzebowanie zbędnymi produktami własnej wytwórczości, a więc pieniędzmi lub towarem. Co więcej nawet, mogą, jak to czynią obecnie, sprowadzając na kredyt broń i amunicję ze Stanów Zjednoczonych, korzystać z sił cudzych, aby zapewnić sobie w ten sposób możność wytrwania w wojnie kosztem cudzej siły i wytwórczości.

Inaczej przedstawia się sprawa dla Niemiec i Austrji. Są one prawie zupełnie odcięte od rynku światowego, a tem samem skazane przedewszystkiem na własną produkcję. W takich warunkach także pieniądz już w obu mocarstwach środkowych nie odgrywa swojej dawnej roli. Chociażby te państwa posiadały jaknajwiększe fundusze, to nie dostałyby za nie w warunkach istniejących ani broni, ani amunicji, ani żywności.

Z drugiej jednak strony nie może im też w takich okolicznościach zabraknąć pieniędzy, bo nie wysyłają większych ilości złota zagranicę, a w kraju mogą dostać wszystko, co kraj produkuje, choćby za pieniądze papierowe, które nie byłyby dostatecznie pokryte złotem.

Dotychczasowy rozwój stosunków wojennych wykazał, że ta produkcja przy swojej wszechstronności wystarcza w Niemczech i Austrji pod każdym względem żywotnym na potrzeby wojny i kraju. A stało się to po części wskutek odpowiednich zarządzeń, które poprzegnęły nie tylko powołanych pod broń, lecz wszystką ludność — także niewalczących i kobiety — do pośredniego, czynnego czy biernego, w wojnie. Wojna mocarstw militarnych ogarnęła całe ludy i zamieniła się na wojnę ludów".

Oda do węgla.

Brak i drożyzna węgla w Warszawie nastroiła rymowoda „Gazety Porannej" na taką odę:

Chociaż-eś się skrywał
U nas—po zakątkach,
Ale to dla ludzi
Co są przy majątkach!
Lecz dla nas—trapionych
Ciągle biedy piłą —
W tej całej Warszawie
Wcale cię nie było!
Wobec nadchodzącej
Jesieni zdradzieckiej —
Bywaj, że nam, bywaj!
Węglu — dąbrowiecki!
Lecz, że chuda fara,
Jest w obecnym czasie —
Nie droś że się, prosim,
Kochany — brudasie!

Marsz.

Redaktor odpowiedzialny KONSTANTY KASZYŃSKI. Wydawca ANTONI MAZURKIEWICZ. Drukarnia „KURJERA ZAGŁĘBIA" Iwangrodzka Nr. 7.
Za pozwoleniem cenzury niemieckiej w Sosnowcu.

Nadesłane.

(Za tę rubrykę inseratową redakcja nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności).

W imię prawdy!

Ze względu na artykuł w „Kurjerze Zagłębia" z dn. 9 b. m. pod tytułem „Wyjaśnienia Komisji żywnościowej", który to artykuł winien raczej nosić nazwę: „Dalsze zamydlanie ócz opinji publicznej", zmuszeni jesteśmy jeszcze raz zabrać głos, zaznaczając przytem, że nazwanie naszego sprostowania przez Kom. żywn. inseratem płatnym—bynajmniej ujmy mu nie przynosi, a przeciwnie rzuca promień światła na panujące u nas stosunki i na rzeczywisty stan naszej prasy, która musi podporządkowywać się wielu względom. Sprawa ta jest dość ważną, ale my jej narazie zmienić nie możemy, przejdziemy przeto do właściwej rzeczy—nazywając fakty po imieniu, a mianowicie:

W dniu 5 marca r. b. zawartą została między nami, a Kom. żywn. piśmienna „Dobrowolna umowa", mocą której zobowiązaliśmy się dostarczać tejże Kom. żywn. kartofle zdrowe i przebierane po wiadomej już Sz. publiczności cenie (4 rb. 50 kop. i 4.62 za 1 korzec 280 fun.), a także zboże. W umowie tej nie mieliśmy żadnych zastrzeżeń, któreby krępowały nam wolną sprzedaż tych artykułów osobom prywatnym, ze względów jednak moralnych, celem doprowadzenia do zniżki cen, mimo wielu korzystnych dla nas ofert, cały transport kartofli oddaliśmy na wyłączną sprzedaż Komisji żywn., która to Kom. kartofle nasze sprzedawała odręcznie (po 7 rb.—8 rb. 40 kop., a nawet 10 rb. 8 kop. za 1 korzec) wobec czego tłomaczenia Kom. żywn. o gniciu naszych kartofli, uważamy za nieprawdziwe.

W końcu kwietnia r. b. na skutek powtórnego ustnego porozumienia się z Kom. żywn. poczyniliśmy większe zakupy mąki, żyta, jęczmienia i owsa, rozchodując na zadatki około 3-ch tysięcy rubli, wtrakcie jednak tym wydanem zostało nowe rozporządzenie Głównodowodzącego armią niemiecką, które wszelki wywóz powyższych produktów bez względu na zawarte kontrakty uniemożliwiało, wobec czego znaleźliśmy się z naszą sumą zadatków w nader przykrem położeniu i ostatnia nasza bytność w pow. Wieluńskim polegała li tylko na windykowaniu tych sum, których w rezultacie mimo interwencji u tamtejszych władz jeszcze w całości nie otrzymaliśmy.

W czasie tym szukaliśmy środka pokrycia strat na innej drodze i wówczas wpadliśmy na pomysł całkiem nowy, dostarczania dla naszego miasta bydła i odpowiednie pozwolenie na skutek wyłącznie własnych naszych starań u tamtejszych władz otrzymaliśmy. Musimy zaznaczyć, że w drodze oprócz omawianych poprzednio przykrości, spotykaliśmy się z propozycjami odstąpienia całego transportu bydła, niestety—my jednakże transport ten przeznaczyliśmy dla Sosnowca w pierwszym rzędzie dla Kom. żywn. i wszelkie propozycje w drodze zlekceważyliśmy. Cel zaś, nie obowiązek, mieliśmy ten, że jeżeli potrafiliśmy dostarczyć jeden transport, dostarczymy tedy i następne transporty.

Nie prawdą przeto jest, co powtarzamy jeszcze raz, jakobyśmy komu innemu zamierzali bydło sprzedać, sam bowiem fakt, ze względu na własny interes przeczy temu!

Inna rzecz, że z drugiej strony nie byliśmy zbyt pewni, przeciwnie bardzo nawet wątpiliśmy, czy wogóle Kom. żywn. będzie się chciała podjąć takiej tranzakcji kupna, przeto na wszelki wypadek tylko, oglądaliśmy się za innymi nabywcami, nie chcąc pozostać z całym transportem bydła na koszu.

Wszelkie przeto tłomaczenia się Kom. żywn. z jej występnego czynu względem społeczeństwa, jest zwyczajną przechwałką, a co gorsza niecnym wykrętem schwytanego — na gorącym uczynku. A teraz co do samej tranzakcji: cały transport bydła zaofiarowaliśmy Kom. żywn. za ogólną sumę 6,490 rb. Kom. żywn. obawiając się kupna na „oko" zapronowała nam odstąpienia tegoż na wagę z zastrzeżeniem, że bydło będzie ważone po 6-cio godz. głodzeniu.

Sprawa ta omawianą była w obecności pp. Członków Kom. żywn. i rzeczoznawców z jej strony; przyczem czas porozumienia się naznaczono na następny dzień o godz. 5-ej po południu. Po zgłoszeniu się naszem w oznaczonym terminie p. B. w obecności sekretarza Kom. żywn. pana O. oświadczył, że Kom. żywn. zdecydowała się nabyć cały transport bydła po cenie 30 kop. za 1 funt żywej wagi, na co zgodziliśmy się. P. B. wówczas traktując rzecz jako dokonaną, prosił nas o przybycie o godz. 8 i pół wiecz. w celu podpisania umowy i wtedy to niewiadomo dla jakich przyczyn p. S. zmienił poprzednią decyzję i wystąpił z nową ceną 27 i pół kop. za 1 funt żywej wagi, na co zgodzić nie mogliśmy się.

Na drugi jednak dzień cenę w miarę możności zniżyliśmy i będąc jeszcze raz w Kom. żywn. doszliśmy do porozumienia przy cenie 28 ¾ kop. z warunkiem zakupu całego transportu. O godz. 7-ej wiecz. p. B. był na miejscu gdzie stało bydło i wobec świadków zaznaczył kupno tegoż, naznaczając odbiór podług wagi na godz. 7-mą rano, prosząc o niekarmienie bydła od tej chwili, aż do chwili odbioru, co stanowiło godz. 12-cie, a sprzeciwiało się pierwotnej umowie, lecz i na ten warunek zgodziliśmy się.

Na poparcie swoich żądań Komisja żywnościowa przysłała o godz. 9 i pół wieczorem 2-ch członków Straży obywatelskiej, celem strzeżenia dostępu do bydła, jako własności Komisji żywnościowej.

O godz. 10 i pół wiecz. tegoż dnia otrzymaliśmy list wręczony nam przez milicję, w którym pan Ś. „ma zaszczyt zakomunikować nam, że jutro dn. 2-go czerwca o godz. 7 rano Komisja żywnościowa kupuje od nas 8 szt. bydła z ogólnego transportu 30 sztuk. Resztę bydła 22 szt. zostawia-

my do dyspozycji W. Pana bez zastrzeżeń".

Pytam tedy Komisję żywnościową jej własnemi słowy wyjętemi z ich „wyjaśnienia", kiedy to było owe „w przeddzień nabycia rzeźnicy zrezygnowali z kupna, motywując to wysoką ceną"? I kiedy to Komisja żywnościowa miała sposobność wyrazić zdanie, „że tak sprawy zostawić nie można" i zmienić swoje postanowienie? Czy między godziną 9½ w. a 10½ taka nagła zmiana i porozumienie się nastąpiło?

Mimo powyższego o godzinie 7-ej rano stawił się na miejsce p. Z. i w imieniu swojem i mojem p. Ś. oznajmił, że żąda dotrzymania umowy, a tylko 8 sztuk bydła nie sprzedamy. P. Ś. nie zważając na to, po wyjściu p. Z. wtargnął *in corpore* do obory i 8 sztuk bydła bez naszej wiedzy uprowadził, o czem dowiedzieliśmy się z listu nadesłanego nam tegoż dnia, w którym Ś. pan pisze: „Wybrałem przy udziale ekspertów *(sic!)* 8 sztuk bydła z partji należącej do W. Pana i bydło powyższe (tu następują Nr. Nr.) uważam obecnie za przyjęte i za własność Komisji żywnościowej; koszta paszenia i dozoru powyższych 8 sztuk od dziś rana bierzemy na siebie. Reszta bydła jest do dyspozycji W. Pana i żadnych pretensji już nie rościmy".

Czy może być coś bardziej cyniczne i znamienne! Proszę, niech Sz. Publiczność osądzi. Zabiera się cudzą własność i pozostawia się resztę cudzej własności łaskawie do dyspozycji właścicielom, nie roszcząc pretensji! (kapitalne).

Rzeczywiście przeżywamy czasy, o jakich się żadnemu z filozofów nie śniło. Wprawdzie bywało, że rabusie zakradłszy się do cudzego lokum, przepraszali nieobecnych właścicieli za uczyniony nieład i pozostawienie opałków od papierosów na stole, kreśląc wyrazy szacunku na kawałku papieru... Dziwna rzecz, czego my właściwie chcemy od p. Ś. i czego żądamy od Komisji żywnościowej jeżeli, ta Komisja zamiast szczegółowego wyjaśnienia przyoblekła ów postępek p. Ś. w szatę godową świadomości i odpowiedzialności swoich czynów przed społeczeństwem, rzucając groźbę pod adresem jednostek, że i nadal również w ten sposób postępować będzie w imię dobra ogółu. Znaczy się, że zwyczajny rabuś grabiący na drodze swą ofiarę, może tłomaczyć się, że jednostka musi się przeciwstawić jego liczniejszej rodzinie. Pocóż w takim razie istnieje Komisja zakupów, wysyłająca swoich przedstawicieli aż do Danji, narażając się na wysokie ryzyko. Oto zwyczajnie, najlepiej przyczaić się, a kiedy kupiec jednostka sprowadzi towar najlepiej mu zabrać i według swego widzimisię zapłacić lub nie.

Pytamy dalej, co ta cna Komisja żywnościowa przez to rozumie, czy sądzi, że całe społeczeństwo chodzi ich śladem, czychając na cudze zabiegi i dorobek? czy też uważa siebie jedynie i to grono osób, które rodzi i toleruje pośród siebie podobne jednostki, za opinję publiczną?

Wy, moi panowie, chcecie nam przypisać wygórowaną cenę mięsa, co jest nie prawdą; wyliczyliśmy to Wam i usprawiedliwili w poprzednim artykule naszym. Wy zaś żadnego postawionego Wam zarzutu nie odparliście i w dalszym ciągu frazesem operujecie. Zaznaczacie poraz drugi, żeśmy bydło po 35 kop. sprzedawali za żywą wagę, co jest nie prawdą, a nawet po 40 kop. i macie jakoby na to dowody. Owszem, o nie prosimy! A może zechcecie się powołać na nasz list pisany do Was w sprawie zabranego nam bydła? Prosimy, ogłoście go. Przyniesie on Wam, a nie nam piętno hańby.

A teraz nieprawdą jest, ażebyśmy korzystali z waszych „glejtów" i przepustek przy przeprowadzeniu bydła gdyż te otrzymaliśmy u odnośnych władz w Wieluniu.

Tak, cni panowie, daremne są Wasze wybiegi i posiłkowanie się zastrzeżeniami, że „nadal na różnego rodzaju napaści i insynuacje odpowiadać nie będziecie". A my wam powiemy, że musicie, bo jest to obowiązek Wasz!

A tymczasem wołać będziemy: załatwcie z nami rachunki, pokryjcie nasze straty, lub oddajcie bydło!

Na zakończenie zapytamy kogo należy, w jaki sposób załatwia się, „szchlachtuz" z biciem zabranego nam przez kom. żyw. bydła, skoro u nas znajdują się wszystkie świadectwa na krowy, a może ich niema? a może akurat te krowy pochodzą z kradzieży! Rzecz dziwna i warta wyjaśnienia.

Wyjaśnienia nie jedna rzecz dopomina się, ale niepodobną jest rzeczą naraz wszystko uskutecznić.

Nie rozszerzając się dalej, zapytujemy p. S. czy wie jakie są elementarne zasady zniżki cen? Otóż ceny obniżają się przez większą podaż, niż popyt. W tym wypadku może p. Ś. być pewnym, że żaden uczciwy kupiec nie zechce się więcej narażać na podobne eksperymenty.

Z poważaniem

Al. Frydrych
Br. Zajączkowski.

412-1-1

Drukarnia „KURJERA ZAGŁĘBIA" Iwangrodzka Nr. 7. Za pozwoleniem cenzury niemieckiej w Sosnowcu.

„Jeszcze Polska nie zginęła".

Przez całe stulecie każde pokolenie stwierdzało hasło Legjonów Dąbrowskiego, że... „jeszcze nie zginęła". Nietylko wówczas, gdy podejmowane były wysiłki orężne przeciw „obcej przemocy". Nawet w takich momentach, kiedy „siła" zawiodła, a „przemoc" znów bardziej się srożyła — rozbrzmiewał cichy szept: „jeszcze nie zginęła".

A temu dumnemu i stanowczemu stwierdzaniu, nieustannego bytu, istnienia, towarzyszyły dalsze słowa polskiej „pieśni nad pieśniami": „Póki my żyjemy". To „my", znaczyło: każde nowe pokolenie, a szereg owych pokoleń wytwarzał jeden, niezniszczalny, więc nieśmiertelny Naród.

I naród ten wtłoczony w trzy odmienne ustroje bytu politycznego, zawsze stał przy jednem wspólnem haśle, że... „Jeszcze **Polska** nie zginęła". Jeżeli więc miało ono wciąż spiżową siłę jednoczenia wszystkich pokoleń „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu"—w najgórniejszych aspiracjach zbiorowej duszy narodu—dziś, bardziej niż kiedykolwiek, stuletnie hasło nabiera mocy iście cudotwórczej.

Niechaj przeto w momencie dziejowego przełomu, sczezną z umysłów polskich wszelakie „złudy świętokradzkie", niech nad szarzyzną ladajakich dysonansów i przeciwieństw, rozbrzmiewa w tonacji nieśmiertelnych bohaterów i wieszczów narodu, nietylko stwierdzenie, jako: „jeszcze nie zginęła", lecz i ten bezwzględny pewnik, że..

Nigdy nie zginie!

Dzwon...

Szczyt naszych cierpień strzelił jako wieża,
Błysk, jak dzwonnica sklepieniem skrwawionem,
I cały naród stał się wielkim dzwonem.
Gdzie jedno serce uderza.

To dzwon pogrzebu — tak, stu lat pogrzebu!
Naród już w niebo wysłał gońców — oni
Przyspieszą dzieje i powiedzą niebu,
Że serce polskie znów dzwoni.

Ten dzwon obudzi w Europie dreszcze —
Nutą ofiary, swą nutą jedyną
Powie: że Polska nie zginęła jeszcze,
Gdy jeszcze za Polskę giną!

Ten dzwon zadzwonił na godzinę cudów,
Ewangelicznej, bezprzykładnej wojny;
Pomiędzy szranki zbrojnych mieczem ludów,
Wywodził lud palmą zbrojny.

Tylko pod palmą gaj oazy rośnie,
Pustynia żarem pod stopą się płoni —
Lecz idźmy, dojdziem ku źródłom i wiośnie,
Jeśli iść będziem dłoń w dłoni.

Wszak jest najświętszą przysięga na grobie!
Męczeńskie świadki męczeńskiego skonu,
Na grobach ofiar przysięgnijmy sobie:
Spiżową harmonję dzwonu!

Ostatni piorun.

(W setną rocznicę).

Historyczny Kongres Wiedeński, zasiadający przed stu laty w pałacu Schönbrunskim, miał jedną z najbardziej sensacyjnych sesji w dniu 6 marca 1815 r. Właśnie, gdy na porządku dziennym znajdowała się likwidacja tworzywa Napoleońskiego, noszącego nazwę: „Księstwo Warszawskie", gdy Adam Czartoryski odczytywał memorjał w sprawie wskrzeszenia Królestwa Polskiego pod berłem cesarza Rosji Aleksandra I-go — wywołano z sali obrad Meternicha. Dyplomata ten powrócił w niespełna kwadrans i przerywając tok dyskusji, rzekł doniosłym głosem:

— Bonaparte opuścił Elbę.

Trzy te wyrazy sprawiły piorunujące wrażenie. Członkowie Kongresu, nie łudzili się ani na chwilę, że podejmowana przez nich obecnie wielka likwidacja polityki Napoleońskiej, może być w niwecz obróconą. Eks-cesarz, a raczej, jak go urzędownie już nazywano, generał Bonaparte, był przecież zdolny podjąć wysiłek „uzurpatorski" i wywołać nową zawieruchę wojenną.

Jakoż dzień po dniu, niemal z godziny na godzinę, przybywali do Wiednia kurjerzy z nowemi wiadomościami o tryumfalnym pochodzie Napoleona, którego już pół Francji znów głosiło cesarzem.

Oczywiście, że posiedzenia Kongresu odrazu zmieniły swój charakter. Zamiast obrad nad przyszłym ustrojem Europy, układano gorączkowo nową koalicję przeciw „zuchwałemu uzurpatorowi". Na sesji dn. 13 marca, odraczającej obrady Kongresu, Meternich w imieniu mocarstw, tworzących koalicję, ogłosił dekret, uznający generała Bonapartego, za osobę wyjętą z pod praw międzynarodowych.

Nazajutrz wszyscy wybitniejsi członkowie Kongresu, opuścili stolicę nad „pięknym, modrym" Dunajem. I grupa polska z Adamem księciem Czartoryskim na czele, również wyjechała z Wiednia, nie żywiąc jakichkolwiek złudzeń, aby „gwiazda Napoleońska" mogła znów wskrzesnąć, a co ważniejsza, zajaśnieć trwalszym blaskiem. Pogląd ten, bardziej niż kto inny, podzielał najczcigodniejszy i najzasłużeńszy w ojczyźnie naszej Mąż, który o wiele wcześniej nie poddawał się ani przez chwilę cudnemu mirażowi „legendy Napoleońskiej".

Był nim Tadeusz Kościuszko, który przebywał wówczas w Wiedniu w ścisłem *incognito*. Bohater z pod Racławic, tylko dlatego w 1805 r. nie chciał brać żadnego udziału w pamiętnej kampanji, ponieważ Napoleon odmómił mu szorstko wyraźnego przyrzeczenia, iż odbuduje państwo polskie. Obecnie, sędziwy Naczelnik przybył do Wiednia na wezwanie Czartoryskiego, aby usłyszeć przyrzeczenie cesarza Aleksandra I-go, iż niepodległa Polska wskrześnie w granicach b. Rzeczypospolitej przed dokonanymi rozbiorami.

Decydującego słowa podczas dwóch tajnych konferencji z monarchą rosyjskim, Kościuszko nie usłyszał. Oczywiście, że późniejszego tworu, zwanego „Królestwem Kongresowem" nie mógł uznać za realizację czynionych obietnic i wytrwał już do końca dni swoich na stanowisku dobrowolnego tułacza, układając się do snu wiecznego na wolnej ziemi Helwetów.

*

Krótkotrwałym był ten ostatni piorun" Napoleona. W historji nosi on miano „Stu dni", przez taki bowiem tylko okres czasu, utrzymywał się na powierzchni ów gromowładny i światobórczy „bożek wojny". Zuchwały geniusz militarny i polityczny Napoleona, zdruzgotała ostatecznie przemożna koalicja na polach Waterloo, w tej samej Belgji, którą za dni naszych, narówni z Polską, najdotkliwiej zniszczył szalejący obecnie huragan.

Jakże inaczej przed stu laty przedstawiało się koalicyjne ugrupowanie mocarstw w zestawieniu z chwilą bieżącą. Wówczas, ramię przy ramieniu, walczyły wojska pruskie pod wodzą Blüchera i angielskie, których generalissimusem był książe Wellington. Również na polach Waterloo, zacieśniło się braterstwo broni prusko-rosyjskie, uwiecznione przymierzem świętem, w znaczeniu sojuszu dynastyczno-politycznego.

„Ostatni piorun" Napoleona sprawie polskiej zadał cios niemały. Wiadomo bowiem że zmienił on do gruntu orjentację cesarza Aleksandra I-go na punkcie politycznego wskrzeszenia Polski w tych rozmiarach, jakie były wskazane w memorjale Czartoryskiego, w upragnieniach Kościuszki i wogóle całego narodu. Powrót Napoleona z Elby zacieśnił rozluźnione przedtem węzły trzech mocarstw, które dokonały rozbiorów Polski. Dzień szósty marca 1815 r. położył kres daleko sięgającym marzeniom praojców naszych, mającym przecież realne podstawy ich urzeczywistnienia.

Piorunowy wysiłek genialnego Korsykanina zakończył się dozgonnem już przykuciem orła do skał wyspy św. Heleny' a Polsce dał, miast wielkiego politycznego bytu, nikłe i słabe t. zw. Królestwo kongresowe, jeszcze przed pół rokiem, zwane oficjalnie... „krajem przywiślańskim".

Dziś, w setną rocznicę tych historycznych wydarzeń, inne błyskawice i grzmoty niweczą doszczętnie zmurszały gmach Kongresu Wiedeńskiego. Czy zdołają one „rozproszone po wszem świecie polskie dzieci biedne" *zjednoczyć?* Tego oczekujemy z wiarą i ufnością, od wymiaru dziejowej sprawiedliwości, którą Bóg Wszechmocny kieruje.

Bronisław Korwin.

Towarzystwo Jezusowe

(Z powodu wyboru Polaka na generała OO. Jezuitów).

W miesiącu lutym r. b. obrano w Rzymie generałem OO. Jezuitów Polaka, O. Włodzimierza hr. Halkę - Ledóchowskiego. O. Ledóchowski jest 26-ym z rzędu zwierzchnikiem Zakonu, który obchodził niedawno setną rocznicę swego wskrzeszenia.

Ciekawe są dzieje tej organizacji religijnej. Towarzystwo Jezusowe, czyli Zakon OO. Jezuitów, założony został w 1540 r. przez Hiszpana, św. Ignacego Loyolę, którego też ówczesny Papież Paweł III zatwiedził, jako pierwszego generała. Głównym celem Zakonu była obrona powagi Papiestwa i walka z szerzącemi się wówczas herezjami.



Włodzimierz hr. Halka Ledóchowski.

Nowy generał Towarzystwa Jezusowego jest bratankiem zmarłego przed kilku laty Kardynała Mieczysława hr. Halki-Ledóchowskiego, b. Arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego. Urodził się w 1866 r. w Loosdorf w Austrji Dolnej. Gimnazjum skończył w Wiedniu, uniwersytet w Rzymie. Do zakonu Jezuitów wstąpił w 1889 r. w Krakowie. Święcenie kapłańskie otrzymał w 1895 roku. W r. 1902 został prowincjałem Galicji, w roku zaś 1906 rządcą niemieckiej asystencji, obejmującej Belgię, Holandję, Niemcy, Austrję, Węgry i Galicję.

Dzięki doskonałemu ustrojowi, gorliwości członków, oraz poparciu Stolicy Apostolskiej i panujących, Zakon wkrótce ogromnie się rozszerzył. Klasztory i słynne kolegja jezuickie, w których kształcono młodzież, mnożyły się w Hiszpanji, Niemczech, Czechach, Belgji, Polsce, Litwie, wreszcie w Azji i Ameryce. W 1618 r., w 32 prowincjach Jezuici liczyli już z górą 13 000 członków.

Potęga Zakonu zwróciła uwagę sfer masońskich, stojących u steru władzy we Francji, Hiszpanji, Neapolu i Portugalji. Wyzyskując zręcznie pewne usterki, jakie tu i owdzie wśród członków Zgromadzenia spostrzeżono, a jeszcze więcej operując oszczerstwami i paszkwilami — rządząca masonerja (Choiseul, Aranda, Pombal etc.) rozpoczęła prześladowanie Towarzystwa. Jednocześnie posłowie wymienionych wyżej państw starali się wywrzeć presję na Stolicę Apostolską, ażeby zniosła Zakon. Ostatecznie Papież Klemens XIV w 1779 r. bullą „Dominus ac Redemptor noster" zgromadzenie OO. Jezuitów — rozwiązał.

W chwili zniesienia Towarzystwo Jezusowe, które wydało tylu świętych i błogosławionych, liczyło przeszło 22.000 członków. „Biedny Papież — pisał wówczas Alfons Liguori — cóż mógł innego uczynić wobec natarczywych żądań tylu dworów! Nam zaś nie pozostaje nic innego, jak milczeć w pokorze, chwalić tajemne wyroki Boże i żyć spokojnie".

*

W dwuch państwach nie pozwolono ogłosić bulli kasacyjnej i nie uznano jej prawomocności: w Rosji i w Prusiech. Tu Jezuici w dalszym ciągu mieli swoje kolegja i klasztory. Nadzieja wskrzeszenia Towarzystwa dodawała zakonnikom otuchy do wytrwałej pracy.

W 1801 roku Papież Pius VII uznał urzędowo dalsze istnienie Towarzystwa w Rosji, w r. 1803 pozwolił b. Jezuitom w Anglji i w Ameryce połączyć się z Zakonem na Białej Rusi. W rok później Ferdynand IV za zgodą Papieża przywrócił zakon w królestwie Neapolu. Oficjalne jednak przywrócenie całego Zakonu nastąpić mogło dopiero po upadku Napoleona. Bullą „Sollicitudo omnium" Papież Pius VII wskrzesił w 1814 r. Towarzystwo Jezusowe.

Generałem przywróconego Zakonu wybrany wkrótce został po raz pierwszy Polak: O. Tadeusz Brzozowski. Odtąd Towarzystwo Jezusowe prędko się rozszerzyło i obecnie liczy 17,545 członków, rozsianych po całej kuli ziemskiej.

Obrany po zgonie O. Wernza (Niemca) generałem Zakonu O. Wł. Ledóchowski jest drugim z kolei Polakiem na tem stanowisku. Wybór O. Ledóchowskiego na generała Towarzystwa Jezusowego, dokonany został wskutek zrządzenia Opatrzności, wśród takich samych prawie wypadków politycznych, co i wybór przed 100 laty pierwszego generała Polaka. I wówczas szalał huragan europejski i wówczas, jak dziś, na plan pierwszy wysuwała się — kwestja polska...

Jakób Chouadet.

Myśli feljetonisty.

(„Głos Narodu".)

Przesada jest zawsze błędem. Dobrze i pożytecznie jest uprzytamniać nie orjentującej się w naszych sprawach opinji niemieckiej, że Polska jest antytezą panslawizmu. Natomiast źle jest, bijąc się w piersi, przysięgać, że Polacy nie mają wogóle nic wspólnego ze Słowiańszczyzną... To mniej więcej pragnie wmówić w swych niemieckich czytelników tygodnik „Polen", którego zresztą niejeden świetny artykuł radzibyśmy widzieć obiegającym całe Niemcy. Tygodnik ów zaryzykował w imieniu Polski twierdzenie: „Uczucie odrębności narodowej wkorzeniło się zbyt głęboko w nasze serca, aby u nas, Polaków, znalazła się choćby odrobina miejsca dla uczucia rasowej wspólności słowiańskiej...

Twierdzenie to jest nieprawdziwe, jest głęboko sprzeczne z naszą godnością narodową, jest wreszcie niepolityczne.

Że nie odpowiada prawdzie, o tem wie każdy, kto ma oczy ku patrzeniu, a uszy ku słuchaniu. We współczesnej Polsce istnieje żywy ruch słowiański, na „wspólności rasowej" oparty i wśród przedstawicieli swych posiada ludzi szanownych, trwałemi nieraz głoskami w rozwoju umysłowości naszej zapisanych. Ktokolwiek wszedł w poufniejszą styczność z przeszłością narodu Polskiego, wie, że zjawisko to nie jest wcale świeżej daty. Dr. Kołodziejczyk swą cenną, bibljografią, wydaną przez Akademję krakowską, może pouczyć nieświadomych, iż od szeregu stuleci istnieje w Polsce olbrzymia literatura słowiańska i słowianofilska, literatura sięgająca jednem skrzydłem epoki Zygmuntów, a drugiem ocierająca się o nasze czasy. Komu zaś ta specjalna karta przeszłości jest tajną, powinien wiedzieć przynajmniej, iż największy wyraziciel ducha polskiego, Adam Mickiewicz, we wspaniałej swej duszy wyznaczał dużo miejsca dla uczucia „rasowej wspólności słowiańskiej", które ktoś tam wstydliwie usiłuje zataić dziś w Wiedniu...

Że odprzysięganie się od owej wspólności właśnie na forum niemieckiem uchybia nam, jako narodowi, to dla każdego subtelniej czującego Polaka jest rzeczą oczywistą. Żadne wykręty nie zmienią faktu, iż krwią i językiem należymy do Słowiańszczyzny, a sama przyroda sprawia, iż jedność pochodzenia i pokrewieństwo mowy wzbudza w nas uczucia sympatji, o ile tym uczuciom nic zresztą nie stoi na zawadzie. Polak, szanujący swą godność, nie będzie wobec ludzi innej rasy wypierał się słowiańskiego pochodzenia, nie będzie zapewniał, że tylko „przez pomyłkę" znalazł się tam, gdzie go postawił Bóg i historja. Będzie czuł, że takie zapewnienia są czemś poniżającem, zaś odrobina przenikliwości podpowie mu, iż odprzysięganie się ro-

du własnego zostanie w należyty sposób ocenione przedewszystkiem przez tych, przed którymi odprawia się ta nader mało zaszczytna ceremonja.

Naostatek — błąd polityczny.

Dla ugrupowań, które ma na myśli tygodnik „Polen", przedstawiamy właśnie wartość podwójną — jako Słowianie. Od pół wieku Polska, uciemiężona przez rosyjskich swych krewniaków, zamąca nieustającym swoim protestem tę obłudną sielankę, jaką Rosja Ignatiewów i Kattkowów pragnęłaby inscenizować w rodzinie słowiańskiej. Panslawizm, któremu Słowiańszczyzna poza Rosją przedstawia się jako szereg strumieni, mających spłynąć do rosyjskiego morza, jedynie o skałę polską rozbija się skutecznie. Dzieje się to dlatego, że jesteśmy i czujemy się Słowianami, że nie rezygnujemy z naszej roli w Słowiańszczyźnie...

. . . .

Włoch mówi: „Dal dire al fare e un gran mare" — pomiędzy słowem a czynem płynie ocean... Stosuje się to przedziwnie do manifestu generalissimusa rosyjskiego Mikołaja, którego zapowiedź pojednania się Rosji z Polską od pół roku nie może znaleźć dla siebie uchwytnego wyrazu. Poseł Jarońtski rzekł w Dumie, że zmiana stosunków dotychczasowych będzie mogła dokonać się dopiero po wojnie. Sam nie wierzy w to chyba. Jeżeli graf Bobriński przy odgłosie dział prowadzi w pocie czoła „przebudowę" polityczną w „odwiecznie rosyjskim" Lwowie — dlaczego takiej samej pracy nie mógłby podjąć kniaź Jengaliczew w odwiecznie polskiej Warszawie? Wielkoksiążęce słowo nie zostało dotąd poparte żadnym czynem. Zaczyna niepokoić się tem prasa Trójporozumienia, patrząca dalej w przyszłość. Angielski „The Catholic Times" daje wyraz temu zaniepokojeniu, gdy z widoczną do Rosji pretensją zaznacza, że dotychczasowe jej zachowanie się „nie wzbudza zbyt śmiałych nadziei co do spełnienia obietnic cesarskich,danych Polakom". Ale Polacy z zimną krwią spoglądając w swe jutro polityczne, wiedzą, co warte są obietnice. Nie liczą na skutki „manifestów". Liczą na nieodpartą konieczność, liczą na to, iż sprawa ich teraz, czy trochę później, mechanicznie wypłynie na wierzch, ku czemu wojna obecna kładzie znakomite podstawy. I to jest najpewniejsza nasza „gwarancja".

. . . .

Z komunikatu Biura prasowego N. K. N. dowiadujemy się, iż dziennik „Utro Rosji" doniósł, że Koło polskie w Petersburgu powzięło na jednem ze swych posiedzeń następującą rezolucję: „Rosyjskim Izbom prawodawczym nie może przysługiwać prawo rozstrzygania kwestji przyszłego ustroju Polski. Ustrój ten powinien być zatwierdzony na kongresie sprzymierzeńców i to jeszcze przed zawarciem pokoju". Mowa tu oczywiście o Polsce, którą ma „zjednoczyć" generalissimus Mikołaj i o kongresie zwycięskiego Trójporozumienia, więc o rzeczach, które posiadają tę słabą stronę, że należą do dziedziny fantazji. Nawiązując jednak do powyższej rezolucji Koła polskiego, „Utro Rosji" uważa za obowiązek swój odeprzeć twardo uroszczenia Polaków, którzy żądają, aby o losie ich rozstrzygała także Anglja i Francja w myśl rękojmi, rzekomo przez te mocarstwa udzielonych. „Narada zwycięskich sprzymierzeńców — oświadcza „Utro Rosji" sucho i dumnie — stwierdzi tylko fakt zjednoczenia przyszłe. Polski, lecz ustroju jej żadne „kongresy" rozważać nie mają prawa". Ustrój ten „zależy wyłącznie od Rosji". Takie to obiecujące stanowisko zajmują wobec nas „postępowe" żywioły rosyjskie!

Biuro Prasowe N. K. N. uczyniło dobrze, zawiadamiając o tem stanowisku polską opinję. Wszystko, co umożliwia nam trzeźwe orjentowanie się w położeniu, jest dla nas pożyteczne. Dlatego też trzeba do powyższego materjału orientacyjnego dodać jeszcze i to: że „postępowe" „Utro Rosii" jest organem Rosjan... wyznania mojżeszowego.

. . . .

W jednym z rządowych teatrów warszawskich grają obecnie zakazaą dawniej, a raczej nie dającą się pomyśleć w publicznem wykonaniu, sztukę Lucjana Rydla „Betleem Polskie". Zdumiona Warszawa patrzy zapewne przez zy, jak przez scenę przesuwa się, niby widziadło senne, konfederata Barski i Kościuszkowski, kosynier i Legionista, ułan księcia Józefa i Czwartak z roku Trzydziestego i może nawet powstaniec Grottgerowski... Jest to wabik na dusze polskie. Naturalnie, tekstu w całej autentyczności nię zdołała przełknąć cenzura rosyjska nawet w tym heroicznym nastroju do ustępstw, w jaki ją chwila obecna wprawiła. Krwawy cień podlaskiego chłopa-Unity nie mógł pokazać się na scenie. Świeży dramat Chełmszczyzny czyni go jeszcze zbyt „aktualnym". Żeby jednak sztuka nie poniosła szczerby dotkliwej i aby rzecz przez zerwanie ogniwa ostatniego nie nabrała charakteru zamierzchłych tylko wspomnień, cenzor pomysłowy na miejsce jednej usuniętej figurki polskiej wsunął inną. Podobało mu się nazwać ją „Kaliszaninem".

Chytry czynownik wie, że z szopką polskiego martyrjum nie może się równać pod względem wyboru obfitego i aktualności marjonetek żadna szopka na świecie.

Kmita.

Zapasy olbrzymów.

Osmy miesiąc trwa wojna prawie bez wyniku. Zniszczono Belgję i znaczną część ziem Polskich. Miljony ludzi w niewoli, miljony rannych, krocie zabitych. Miljony bez pracy, miljony głodnych, a cały świat pokryty żałobą i nieszczęściem! Historja kiedyś oceni sprawców tej tytaniczne wojny. Bezstronni politycy przewidywali jej wybuch i bezcelowość. Obecne zawikłanie polityczne, ten węzeł gordyjski nie do rozwiązania, mota się coraz więcej. Ten chce być panem mórz, drugi lądu. Ów chce zagarnąć handel ze Wschodem, tamten grozi zalaniem Zachodu Europie szkodzi Ameryka, Ameryce Japonja, Chiny grożą Rosji, ta Turcji, Serb bije się z pobratymczymi Bośniakami, a biedny „Łazarz narodów" Polak z Polakiem.

A dotychczasowe rezultaty tych powietrzno-morsko-lądowych zapasów—żadne. Jeden siedzi nakarku drugiego, okopany, obstawiony armatami lub minami i pragnie by zgnieść przeciwnika, zdruzgotać, w końcu uczynić dla siebie nieszkodliwym. Silne sznury węzła motają się coraz więcej a nici sympatji politycznych rwą się, to znów nawiązują. Jeden wielki chaos, polityczna wieża Babel...

I niedługo przyjść może czas, że miljonom otworzą się oczy, że władcom olbrzymich części świata stanie przed obliczem widmo ich bezcelowego czynu. Wszyscy zapragną spokoju, łaknąć będą zgody —a wojny nie zdołają zakończyć, gdyż nie będzie do tego podstaw. Wycieńczone zaś i ogłodzone miljony uniemożliwią dalsze jej prowadzenie. Nastąpią przymusowe pertraktacje. Otworzą się bramy wielkiej giełdy świata.

Maklerzy polityczni szykujcie języki! Powinno się tam jednak postawić wielką wagę sprawiedliwości, wybrać na sędziów szlachetnych myślicieli, uczonych, nie

wojujących polityków, ale miłujących pokój i szczęście narodów, bezstronnych rozjemców między uzurpatorami i kłótnikami świata. Na szali sprawiedliwości należy położyć losy przyszłe, krzywdy przebyte i obecnie znoszone maluczkich, obok wielkich zaborczych potęg.

Wówczas, gdy możni trzymać będą z możnymi, niech słabi wspierają się wzajem i bronią swych interesów. Wtedy powstać może siła, by pierwszych zmusić do ustępstw na rzecz słuszności i sprawiedliwości. Tylko wtedy, gdy te owładną światem, zapanuje trwały pokój, który jest szczęściem ludzkości.

M....wicz.

„ZDRADA".

„Słowo Polskie" protestuje przeciwko nadużywaniu w naszych walkach partyjnych słowa „zdrada". Nigdzie tak mało nie było zdrajców, jak u nas a nigdzie tak często nie stawia się tego zarzutu.

„Polacy — pisze — nie znają własnej historji, bo gdyby ją znali, to wykreśliliby ze swego podręcznego słownika raz na zawsze obelżywy wyraz „zdrada" i zastąpiliby go słowem o wiele stosowniejszem, logiczniejszem i prawdziwszem: „nieporozumienie".

Co prawda, tu i tam miewaliśmy czasem ohydne zdrady, podjęte i dokonane dla materjalnych zysków, lecz te dadzą się policzyć na palcach i zostały należycie przez historję napiętnowane: natomiast co krok w tej samej historji spotykamy oddzielne i zbiorowe nieporozumienia, czyste i szczere po obu stronach, lecz fatalne w odrębnym a zatwardziałym sposobie pojmowania najżywotniejszych zagadnień chwili.

Ustawmy naprzykład kilku ludzi z różnych czasów i obozów, ludzi o różnych temperamentach i charakterach, ustawmy na czele taką świetlaną duszę, jak Mickiewicza, a obok niej zgrupujmy, po parze, tak biegunowo sobie przeciwne osobniki, jak czerwonego szerszenia (wybornego zresztą historyka, krytyka i stylistę polskiego) Maurycego Mochnackiego i białego biurokratę, ministra Lubeckiego, lub drugą parę; czerwonego Mierosławskiego i ultrabiałego Wielopolskiego albo też wreszcie z przedostatniej doby Szujskiego lub Tarnowskiego z jednej, a Buszczyńskiego i Limanowskiego z drugiej strony — i każmy im mówić z sobą, lub, co ważniejsze, działać w gorącej chwili razem.

Cóż z tego wyniknie? Oczywiście gniew i... „zdrada".

To smutne słowo nie ominęło nawet największego myśliciela i wieszcza polskiego, najczystszą duszę, jaką Polska pochlubić się może, która tem chyba zawiniła, że była ekstremem wielkości w stosunku do swego poziomego otoczenia. „Młoda Polska" na emigracji pieniła się nieraz ze złości i w swych marnych, quasi-postępowych pismidłach tak manewrowała frazesami, aby naiwni rodacy wyciagali z nich popularne słowo „zdrada".

A przecież wszyscy ci ludzie—choć to sami ekstremiści — wszyscy w teorji na jeden godzili się sztandar, na jedną gwiazdę przewodnią. Tym sztandarem, tą gwiazdą, tym jasnym punktem była narodowa jedność. Wszyscy czuli jej potrzebę... czuli szczerze, gorąco, pożądliwie, upornie — a jeżeli się waśnili i gniewali, to tylko dla tego, że nie umieli się porozumieć. Polska za wiele miała generałów, a zamało szeregowców, zaś żaden z generałów nie chciał w swych przekonaniach postąpić na rzecz jedności o kilka schodów wyżej lub niżej.

Owóż historja woła dziś ku nam przeraźliwie: „Precz z partyjnym snobizmem, precz z nieporozumieniami, wam trzeba ofiarnej jedności!"

W pośmiertnych papierach S. Buszczyńskiego pozostał jego polityczno-narodowy testament, złożony z kilku przykazań. Na czele ich widnieje słowo „jedność", o której mówi: „Każdy chce zbawić Polskę na swój własny sposób, a tak upornie trwa przy nim, że nawet drugiego wysłuchać nie chce".

To prawda.

Jedność powinna się zacząć od tej szlachetnej ofiary, aby cierpliwie i bez uprzedzenia wysłuchać drugiego, nie bryzgając mu w oczy na wstępie słowem: „zdrada".



Rynek w Taurogach.

Taurogi, miasto w gub. Kowieńskiej nad granicą pruską, liczyło przed wojną 5,000 mieszkańców. Znane jest w historji, ponieważ w wieku XVII staczano tu walki ze Szwedami. Stąd Taurogi często są wspominane w arcydziele powieściowem H. Sienkiewicza „Potop". Tu w 1807 roku cesarz Aleksander I podpisał zawieszenie broni, poprzedzające pokój w Tylży; tu również generał pruski York zawarł z gen. rosyjskim Dybiczem 30 grudnia 1812 roku słynną „konwencję neutralności". Podczas obecnej wojny Taurogi często przechodziły z rąk do rąk. Od bitwy na Mazurach znajdują się znów w posiadaniu Niemców.

Nad Berezyną.

I.

Rok 1812 poruszył całą Europę od słupów Herkulesowych aż po szczyty gór Uralskich. Gotowała się bowiem wojna olbrzymia, jakiej świat od czasów Xerxesa nie pamiętał.

Genialny Korsykanin, wódz szczęśliwy i dotąd niezwyciężony, zawładnąwszy połową tej części świata, szedł na złamanie potęgi rosyjskiej, a pośrednio i na upokorzenie dumnego Albionu. Na jego rozkaz zbroiły się też wszystkie jemu podległe narody. Oprócz Francuzów więc, tworzących jądro tej nowoczesnej armady, ciągnęli: Portugalczycy, Hiszpanie, Holendrzy, Włosi, posiłkowe korpusy książąt Rzeszy, Prusacy, książę Schwarzenberg z Austrjakami i Polacy.

Hasło, dane z Paryża, odbiło się głośnem echem nad Wisłą i obudziło tam nowe nadzieje.

Sądzono bowiem tam, i zupełnie słusznie, że jeżeli przyjdzie do śmiertelnych zapasów pomiędzy tymi dwoma mocarzami, natenczas sprawa polska, nieobojętna dla jednego i drugiego, w ten lub ów sposób musi być poruszona i rozwiązana, z większą zapewne niż dotąd korzyścią.

Księstwo Warszawskie więc, stworzone przez Napoleona i powiększone nowym nabytkiem po wojnie 1809 roku, wzięło się raźno do broni. Było ono obowiązane już od czasu swego powstania utrzymywać armję 30-tysięczną, a obecnie wytężyło wszystkie siły, aby uczynić ją jeszcze potężniejszą.

Mimo wyniszczenia kraju przez wojnę pruską w r. 1806 i 1807, mimo wycieńczenia skarbu wskutek nadzwy-

czajnych wydatków na administrację i wojsko, mimo zubożenia przez system kontynentalny, z wielką surowością przestrzegany, stanęła teraz armja 70 tysięcy licząca, doskonale zorganizowana i najlepszym ożywiona duchem. Z tego 66.700 tworzyło część wielkiej armji, reszta pozostała w garnizonach w Zamościu, Modlinie, Serocku, Warszawie i Toruniu.

Od czasów Beresteckiej wyprawy nie mieliśmy nigdy takiej siły. Niezachwiana wiara w Napoleona i miłość kraju działała cuda. I inaczej nawet być nie mogło.

„Odezwa cesarza — pisze współczesny świadek i uczestnik tej wojny, Józef Załuski — (Wspomnienia o pułku lekko konnym gwardji polskiej. Kraków, 1865; str. 234) w Wyłkowyszkach dnia 22 czerwca wydana, na pierwszy rzut oka nas Polaków porywała do uniesienia Wyrazy jej: pokój, który zawrzemy, przyniesie z sobą rękojmie, położy tamę wpływowi, jaki Rosja od lat 50 ciu na sprawy Europy wywiera, nie zdawały się już zapowiadać, ale zapowiadały wskrzeszenie Polski.

A jeżeli taka zapowiedź wychodziła z ust najpotężniejszego wtedy mocarza, jeżeli sejm konfederacki w Warszawie, zwołany na jego rozkaz i inspirowany przez ambasadora francuskiego, wypowiedział niemal urzędowo odbudowanie Polski, to któż mógł wątpić na chwilę, że te wszystkie uroczyste zapowiedzi rozwieją się, jak mgła poranna?

Wierzono więc i ufano w gwiazdę napoleońską, i w tem zaufaniu niebacznie wszystkie pokładano nadzieje.

Tymczasem rzeczy brały cokolwiek odmienny obrót.

Napoleon, zamiast użyć sił polskich w jednej masie, tam, gdzie one najskuteczniej działać mogły, wysłał na Wołyń Austrjaków, a wojsko polskie rozdzielił pomiędzy rozmaite korpusy swojej armji. W gromadzie pozostał tylko t. zw. korpus 5 ty, oddany pod dowództwo księcia Józefa Poniatowskiego. Liczył on 32,000 ludzi i 74 działa, a należał do armji Hieronima, króla westfalskiego, brata cesarza.

Resztę 30 batalionów piechoty i jedenaście pułków jazdy rozproszono po całej linji bojowej; pułk szwoleżerów gwardji Wincentego Krasińskiego, liczący 915 koni, ten sam, co wykonał słynną szarżę somosierską, pozostał u boku cesarza.

Kampanja rozpoczęła się dla nas niezupełnie szczęśliwie. Różniecki, który był znakomitym kawalerzystą, ale marnym generałem, poniósł porażkę pod Mirem; drugą podobną, dzięki własnej nieostrożności, generał francuski, dowodzący jazdą polską pod Romanowem.

Korpus księcia Józefa, oddany po odjeździe króla Hieronima marszałkowi Davoustowi, brał zaszczytny udział we wszystkich późniejszych bitwach, wsławił się przy zdobyciu Smoleńska, pod Możajskiem, później w potyczkach około Moskwy staczanych, a osobliwie w odwrocie, dzięki swojej wytrzymałości, ostro kutym koniom i osobistej dzielności.

Francuska jazda, mając konie tępo kute, które nie mogły utrzymać się na lodzie, nie była do użycia, a że Francuzi najbardziej obawiali się kozaków, więc, jak tylko do głównej kwatery przychodziły raporty, że się kozacy pokazują gdzieś na boku, wydawano natychmiast rozkaz: Polonais allez voir. I tak, powiada dalej generał Chłapowski, było przepędzenie spokojnej nocy dla nas rzadkim przypadkiem. (Pamiętniki generała Dezyderego Chłapowskiego; str. 137.)

II.

Wreszcie nastąpiła katastrofa, ów straszny odwrót z Moskwy i jeszcze straszniejsza przeprawa przez Berezynę.

Wielka armia, licząca przy przejściu Niemna blisko 400,000 ludzi w szyku bojowym, stopniała w bitwach, wskutek mrozów nadzwyczajnych, maruderstwa i braku wszelakiego zaopatrzenia do 29.700 żołnierzy, w czem było około 6,000 Polaków.

Napoleon bowiem, obrawszy do powrotu tę samą drogę, po której szedł do Moskwy, przebywał okolice zupełnie wyniszczone, ogołocone z ludzi i wszelkich środków pożywienia dla wojska i koni. Głód więc, zimno, niedostatek ciepłej odzieży, zresztą przygnębienie, jakie po niepowodzeniach owłada umysły żołnierzy, szerzyły w szeregach demoralizację, po której następuje zupełny upadek ducha.

Nieprzyjaciel natomiast, widząc te tłumy bezładne i bezbronne, nabierał coraz większej śmiałości, stawał się natarczywszym, dniem i nocą nie dawał spokoju upadającym ze znużenia, a pewien już zwycięstwa, czekał chwili, kiedy te upiory wielkiej armji bez boju i krwi rozlewu staną się łatwym dla niego łupem.

Marsz z Wiazmy do Smoleńska przy dwunastostopniowym mrozie rozprzęgnął do reszty wszelki ład i porządek. W Smoleńsku nie zastano spodziewanych zapasów w takiej ilości, aby módz całą zaopatrzyć armję, wszelkie zaś usiłowania przywrócenia karności wśród maruderów nie odniosły najmniejszego skutku. W dalszej drodze ku Orszy stawało się położenie coraz krytyczniejszem, armja Kutuzowa deptała po piętach Francuzom, a od Dźwiny i z Litwy nadchodziły co chwila hiobowe wieści o niepowodzeniach i klęskach.

Marszałkowie Victor i Oudinot nie zdołali pobić, a nawet powstrzymać Wittgensteina, Schwarzenberg zamiast rzucić się na mołdawską armję Czyczagowa, lub co najmniej osłaniać Mińsk, cofnął się ku granicom Księstwa Warszawskiego; słabe oddziały polskie, niemogły same powstrzymać przeważających sił rosyjskich. Konopka, dzielny zresztą oficer, dowodzący nowoformującym się pułkiem gwardji litewskiej w Słonimie, wdał się nierozważnie i niepotrzebnie w bitwę z jenerałem Czaplicem, poniósł zupełną klęskę i dostał się wraz z połową swego pułku do niewoli.

Czaplic ośmielony powodzeniem rozbił w Kojdanowie słaby oddział jen. Kosseckiego i ruszył na Mińsk, zkąd nieudolny jen. Bronikowski wycofał się coprędzej do Borysowa.

Mińsk więc, gdzie były nagromadzone olbrzymie zapasy żywności, Mińsk, na którym polegały wszystkie nadzieje wygłodzonej armji francuskiej, stał się łupem nieprzyjaciela.

Pozostawał jeszcze Borysów z mostem na Berezynie, jedyne wyjście dla Napoleona z matni, w jaką go zapędzono. Ale i to zawiodło. Jen. Dąbrowski, tu dowodzący, napadnięty przez przeważające siły rosyjskie, bronił się po bohatersku przez dzień cały i w końcu musiał ustąpić.

Położenie było wprost rozpaczliwe. Wielka armja, otoczona ze wszystkich stron i przyciśnięta do rzeki, miała przed sobą tylko zupełną zagładę albo haniebniejszą od niej niewolę. Ocalić mogło ją tylko przejście przez Berezynę, niestety w tych warunkach prawie niepodobne do wykonania, dla braku pontonów, które spalono poprzednio i z powodu czujności nieprzyjaciela, krążącego po jednym i po drugim brzegu rzeki.

Mimo to trzeba było chwytać się i tej ostateczności.

Wszystko zależało od wyszukania dogodnego dla przeprawy miejsca. Napoleon, przybywszy nad Berezynę, nocował w Starym Borysowie, w zamku, należącym do ks. Dominika Radziwiłła i tu rozpoczął poszukiwania brodu.

Sprowadzono w tym celu zamożnego obywatela z okolicy, Zembrzuskiego, który jednak żadnej nie umiał dać rady. Przypuszczać należy, że sam gospodarz i właściciel zamku borysowskiego, lubiony i ceniony bardzo przez Napoleona, zajął się tą ważną sprawą i wyszukał miejsce najodpowiedniejsze.

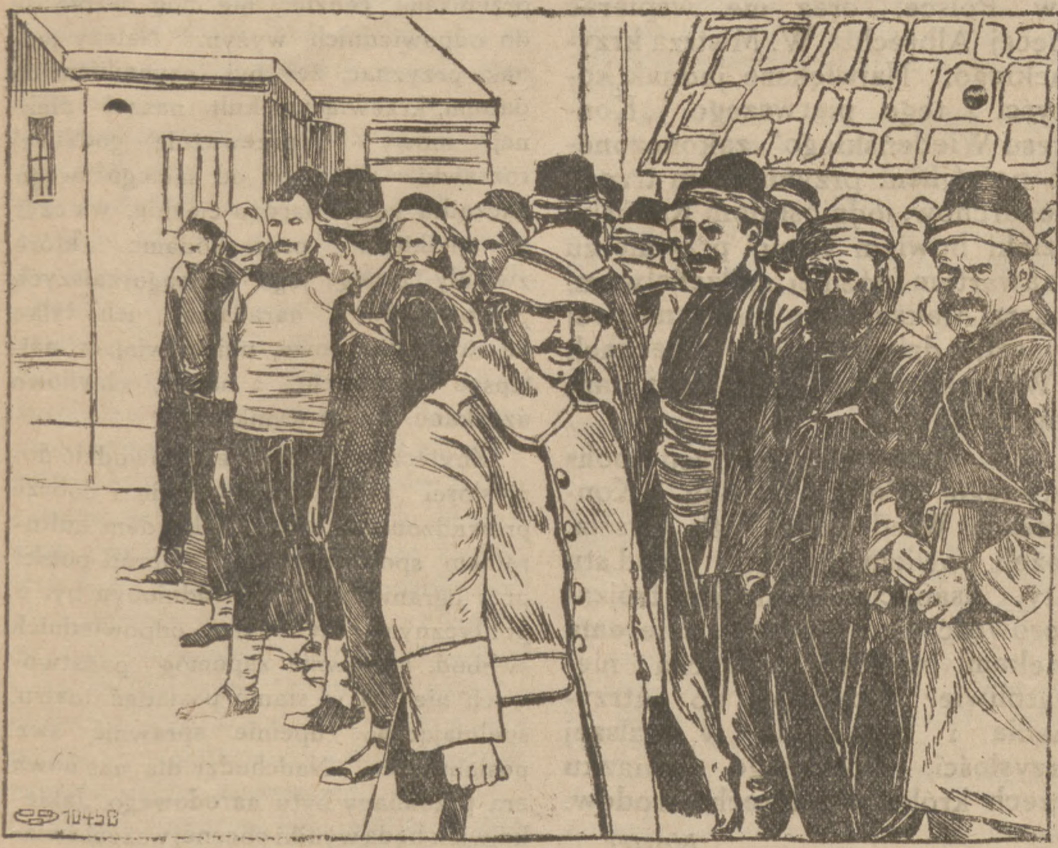
Znajdowało się ono tuż około wsi Studzionki, nie Studzianki, jak mylnie miejscowość tę nazywają, z białoruska Ściudzianki. (Eust. Tyszkiewicz. Opis pow. borysowskiego. Wilno, 1847; str. 85).

Wieś ta, wtedy ogromna, leżała na znacznem wzniesieniu, przechodzącem ku dołowi w równinę, nad brzegiem Berezyny bagnistą, podobnie, jak i brzeg prawy. Rzeka miała tu zaledwie 12 sążni szerokości i 7 do 12 stóp głębokości i nadawała się wyśmienicie do budowy mostów.

Zasługę wynalezienia tego brodu przypisali później historycy francuscy (Ségur, Thiers) jen. Corbineau, który przybył w tę porę właśnie od korpusu jen. bawarskiego Wrede nad Berezynę i miał rzekomo dowiedzieć się od jakiegoś chłopa o przejściu pod Studzionką.

Faktem jest jednak, że pierwsi zbadali bród i przepłynęli go ułani polscy z 80 pułku pod dowództwem oficera Jerzego Bułharyna, Polaka, znanego później powieściopisarza rosyjskiego. Ponieważ zaś ten pułk należał do brygady jen. Corbineau, więc ztąd zapewne powstała i legenda, wyżej wspomniana.

Po odkryciu brodu natychmiast zajęli szwoleżerzy gwardji Winc. Krasińskiego Studzionkę i w ich oczach odbyła się owa przeprawa Bułharyna.



Ochotnicy tureccy.

Obrazek powyższy przedstawia ochotników — mahometan przed biurem werbunkowem w Adrjanopolu. Wśród tych kandydatów do wojska sułtańskiego są nietylko Turcy, lecz i Bułgarzy, Dalmatyńcy, Albańczycy, Bośniacy etc.. Na czele widzimy oficera tureckiego.

Teraz dopiero można było pomyśleć o budowie mostów, o ile oczywiście nieprzyjaciel, zajmujący prawy brzeg Berezyny, na to zechce pozwolić. Napoleon jednak rozwijając tu swoje genialne zdolności taktyczne, może po raz pierwszy w tej strasznej wojnie, umiał zręcznemi demonstracjami w kierunku Borysowa wprowadzić w błąd wodza rosyjskiego. Czyczagow w przekonaniu, że Francuzi zamierzają się przeprawić pod Borysowem, skupił wszystkie swoje siły w tem miejscu i będąc tak oddalonym o 12 wiorst od Studzionki, dał nieprzyjacielowi czas do wydobycia się z matni

Mosty zaczęto stawiać 26 l stopada. Materjału do budowy dostarczyła wieś, gdzie wszystkie niemal chaty rozebrano, a poświęcenie saperów dokonało reszty... Niezmordowani ci ludzie brodzili po ramiona w wodzie, od czasu do czasu musieli odrębywać kry lodowe, przymarzające do ciał i odzienia i wreszcie dokonali dzieła. Jenerał inżynierji, Eblé, starzec blisko siedmdziesiątletni, czuwał dniem i nocą, dawał przykład, nie szczędził zachęty. Z 300 tych bohaterów, bo inaczej nazwać ich niepodobna, przypłaciło śmiercią swoje poświęcenie 288, dwunastu tylko zostało przy życiu. Pomiędzy nimi była także kompanja saperów z dywizji Dąbrowskiego.

Po pierwszym moście, ukończonym o godzinie 1 w południe, dnia 26 listopada, przeszedł korpus Oudinota wraz z dywizją Dąbrowskiego, w sile 5,600 piechoty i 1,400 jazdy i odrzuciwszy oddział rosyjski Czaplica ku Borysowu, usadowił się mocno na prawym brzegu rzeki.

Wtedy dopiero pospieszył Czyczagow z całym swoim korpusem, 17,000 piechoty i 9,000 jazdy i d. 28 listopada rozpoczęła się zajadła bitwa, na prawym i na lewym brzegu Berezyny.

I tu i tam walczyli Polacy. Od strony Studzionki pułki, które powróciły z Hiszpanji, pod jen. Girardem, po drugiej stronie 5-ty korpus pod wodzą jen. Zajączka, zastępującego ks. Józefa. Tu trwał bój, przeważnie tyralierski, wśród lasu, po części wyrąbanego. Szala zwycięstwa chwiała się długo. W końcu przemogła wytrwałość polskiej piechoty i szarża kawalerji zmusiła nieprzyjaciela do odwrotu.

Około godz. 4 po południu, gdy zmierzch zapadał, zaczął ogień wolnieć na całej linji, Rosjanie jęli otrębywać swoich tyralierów i zakładać biwaki.

„Bitwa ta — powiada słusznie jen. Chłapowski — ostatnia w tej kampanji, została wygrana przez samych Polaków. Była przy nich tylko jedna brygada francuska kirasjerów".

Oczywiście okupiono zwycięstwo wielkiemi stratami.

Zajączkowi, który po chorym ks. Józefie Poniatowskim objął dowództwo nad 5-tym korpusem, strzaskała kula nogę; Dąbrowski i Kniaziewicz ranni opuścili pole bitwy, ale droga do dalszego odwrotu wielkiej armji stała otworem.

Tak poświęcenie naszych Maćków i Bartków ocaliło Napoleona. Tylko Polacy, jeżeli pominiemy gwardję cesarską, zachowali w szeregach swoich karność i porządek, przyprowadzili do Warszawy wszystkie swoje działa, z wyjątkiem dwóch zagwożdżonych i zakopanych, zachowali do końca wierność dla sztandarów i dla tego cesarza, którego wnet cała Europa opuściła.

Toż nic dziwnego, że zwycięzcy zwłaszcza Agamemnon koalicji, cesarz Aleksander I, uszanował poświęcenie i waleczność hufców polskich i, wziąwszy je pod swoją szczególną opiekę, zwrócił rozbitków na łono ojczyzny, a krajowi zapewnił byt samorządny pod swojem berłem w połączeniu z cesarstwem rosyjskiem.

Dr. August Sokołowski.

MAZUR.

Pogardziwszy nową modą,
Ojców idźmy torem,
Pogardzajmy czczą urodą,
A cnót bądźmy wzorem.
A takie plemię,
Gdy zamieszka ziemię,
Polska kwitnąć będzie,
W pierwszych królestw rzędzie.

„Szczerość w sercu, szczerość w mowie",
Mówił to co wiedział,
Tacy to byli przodkowie,
Jak tam ktoś powiedział.
A takie plemię,
Gdy zamieszka ziemię, i t. d.

Gdy kto obcy w dom zawitał,
Biedny, lecz cnotliwy,
Dobrze każdy tam przywitał
Człeka, człek poczciwy.
A takie plemię, i t. d.

Tam nie było wykwintności,
Przepysznego grodu:
Rzekł gospodarz „Szczęść Waszmości",
Dał szklanicę miodu.
A takie plemię i t. d.

Ale kiedy niepotrzebny
Gość w ich kraj zawitał,
Polak dzielny, niepochlebny,
Wygnał — ani pytał.
A takie plemię i t. d.

Znały polskiej ręki siłę
Pograniczne ludy,
Im wolności imię miłe,
Dla niej słodkie trudy.
A takie plemię, i t. d.

Równie mężom i kobiety
Znały co Ojczyzna;
Męstwo, cnota, to zalety,
Wdziękiem u nich blizna.
A takie plemię i t. d.

Dawniej dzielne nasze matki
Polskie rozmawiały:
Kochać, naród, swoje dziatki,
Kochać nauczały.
A takie plemię, i t. d.

Gdy na wojnę szły synalki,
Matki nie szlochały,
Dając tarcze rzekły: z walki
Na niej, albo cały.
A takie plemię, i t. d.

Niech się teraz Lech odrodzi,
Dawne wrócą cnoty;
Niechaj dziadów torem chodzi —
Niech zna co obroty.
A takie plemię, i t. d.

Pierwszy Kongres Wiedeński.

(W 400-ą rocznicę.)

Dziwnym zbiegiem okoliczności, odbywający się przed stu laty w Wiedniu Kongres, nastąpił w trzechsetną rocznicę innego zjazdu politycznego w tem samem mieście. Zjazd ów nasi również w historji miano: „Wiedeńskiego Kongresu", który z dziejami Polski ma ścisły związek. Więc i o tamtym Kongresie Wiedeńskim, jako obecnie w czterechsetną już rocznicę, kreślimy poniżej treściwy wspominek historyczny.

W epoce tej, na tronie polskim zasiadał król Zygmunt Stary, wnuk Jagiełłowy, syn Kazimierza Jagiellończyka. Wiadomo, że najstarszy z synów Kazimierzowych, Władysław, jeszcze za życia ojca, został królem węgiersko-czeskim. Z tego powodu berło polskie dzierżyli kolejno trzej jego młodsi bracia: Jan Olbracht, Aleksander, a wreszcie Zygmunt. Krzywo patrzał na to połączenie trzech królestw pod panowaniem jednego rodu, cesarz niemiecki Maksymiljan. Gdyby, po dokonanej już Unji Litwy z Polską, miała nastąpić unja polityczna trzech sąsiadujących z sobą narodów, wytworzyłaby się wtenczas w Europie potęga groźna dla cesarstwa.

Obmyślił więc Maksymiljan daleko idące plany zniweczenia przyszłego sojuszu trzech królestw. Pod pozorem więc zorganizowania powszechnej wyprawy na Turków, zwołał do Wiednia Kongres, na który przybyli: król polski Zygmunt Stary i król węgiersko-czeski Władysław Jagiellończyk z orszakiem wielu dygnitarzy polskich, czeskich i węgierskich. Rzekomy cel zjazdu nie doszedł wcale do skutku. Natomiast ukartowane zostały na Kongresie dwa małżeństwa wskroś polityczne. Oto, infantka Anna, córka Władysława miała poślubić wnuka cesarza Maksymiljana, a Ludwik Jagiellończyk syn Władysławowy, wstąpić w związki małżeńskie z Marją, wnuczką cesarską.

Wzamian za te bliskie koligacje, zobowiązywał się cesarz Maksymiljan zerwać sojusz z w. ks. moskiewskim, zwrócony przeciw Polsce, oraz nie wspierać więcej Albrechta W. Mistrza krzyżackiego. Największe jednak korzyści z tego pierwszego „Kongresu Wiedeńskiego", zakończonego potrójnem przymierzem trzech monarchów, odniósł dom Rakuski. Dzięki bowiem temu przymierzu i zawartym później małżeństwem, cesarz Maksymiljan zapewnił swej dynastji dziedzictwo w Czechach i Węgrzech, po wygaśnięciu tam Jagiellonów.

Ze stanowiska interesu politycznego, Polska na obu „Kongresach Wiedeńskich", źle wyszła. Jeżeli bowiem, na tym, przed stu laty, usankcjonowano jej trójzaborowość, to przed czterema wiekami w 1515 r. straciła niewątpliwie podstawę do utrzymania i utrwalenia w dalszej przyszłości, potężnego związku trzech królestw i trzech narodów.

Noster.

Teatr w odrodzonej Polsce.

Nie wszędzie w trójzaborowej Polsce spełniał teatr należycie swe posłannictwo. W każdym razie krzepił ducha narodowego od Gdańska aż do Morza Czarnego. Skrępowany przepisami cenzury nie mógł wzbić się do odpowiednich wyżyn. Należy jednak przyznać, że był czynnikiem dodatnim, krzewiącym kult naszej pięknej mowy i przeważnie godziwej rozrywki. Wiódł on od samego swego zaczątku koleje bardzo ciężkie, wa czył z wielkiemi przeszkodami, które zwalały z nóg jego najzagorzalszych pracowników, narażajac ich tylko na straty finansowe, unicestwiajace najlepsze aspiracje, a nawet, chwilowo uzyskane, dobre wyniki.

Zbytecznem chyba jest dowodzić doniosłości zadań, odpowiednio i dobrze prowadzonego teatru w każdem kulturalnem społeczeństwie. Naród polski przy ograniczonym i utrudnionym bycie politycznym, nie mając odpowiednich swobód, a głównie zapomóg państwowych nie był w stanie posiadać teatru, spełniającego zupełnie sprawnie swe posłannictwo. Nadchodzi dla nas nowa era przemiany bytu narodowego. Jakiekolwiek będą wyniki obecnej wszechświatowej zawieruchy, nie wątpimy o zmianie dotychczasowych warunków na lepsze. Czy czeka naród polski niepodległość czy autonomja, w każdym razie instytucja teatru będzie upaństwowioną, a teatr z prywatnego przedsiębiorstwa zamieni się w publiczną i ogólno społeczną instytucję. Taki teatr musi dążyć do budzenia uśpionego i trwożliwego w nas patrjotyzmu, musi być



Patrol wojskowy na ski w Wogezach.

Ski — są to łyżwy, używane do ślizgania się po śniegu. Pręt, który trzyma jeździec w ręku, służy jako ster i hamulec. Ski, wynalezione w Skandynawji, używane są obecnie w Szwajcarji, Niemczech, Francji, Austrji. Jak doniosły niedawno dzienniki berlińskie, między oddziałami niemieckimi a francuskimi na ski w Wogezach — przyszło do krwawej walki. Niemcy odnieśli zwycięstwo.

podnietą do czynów wzniosłych. Taki teatr powinien być narodowym no i oczywiście pozostawać w zgodzie z religją narodu.

Niestety, jakże dalekim był dotychczasowy teatr od zaznaczonego powyżej ideału! Nie należy go jednak winić za jego błędy i grzechy. Zbywało mu na funduszach, stosownych gmachach, wyrobionych, ideowych kierownikach, nawet pracownikach. Od wielu lat zaprzestano wstępować na deski sceniczne z zamiłowania, znicz sceniczny gasnął powoli. Teatr stał się przytułkiem dla różnych wykolejeńców, a choć czasem nawet utalentowanych, to szargano imię artysty czynami po za teatrem tak, że lepsza część społeczeństwa zaczęła ich ignorować, odsuwać się i aktorów wogóle lekceważyć. Głośne i skandaliczne afery teatralnych gwiazd i ulubienic naszych stolic, zmroziły czystą miłość dla sztuki polskiej, nawet u najzagorzalszych melomanów.

Wtedy to zaczęła królować na scenie pieprzna operetka i bezmyślna farsa, depcząc prawdziwą sztukę i spychając ją do rzędu parjasa. Zmarniała opera, znikły: tragedja, dramat, komedja zobojętniała królował kuplet i cyniczny taniec. Runęła „świątynia" sztuki, w której królowały Modrzejewska, Bakałowiczowa, Rakiewiczowa, Popiel, Deryng, Królikowski, Żółkowski, Leszczyński, Rapacki i tylu tylu innych, świetnych artystów.—Za to poczęły się panoszyć „motyle brylantowe" i „damy od Maksyma". I oto na gruzach tego zwyrodnienia teatralnego wyrosły cyniczne kabarety, straszne swemi okropnościami illuzjony, z przyczepionymi do nich, jako parodja teatru, pieprznemi jedno-aktówkami.

Bliską jest jednak chwila odrodzenia. Niech więc ci, którym leży na sercu dobro sceny polskiej, którzy oceniają doniosłość teatru, w których tli się jeszcze ogień zapału dla sztuki polskiej, już dziś myślą o tem aby teatr odrodzić. Za ich przykładem pójdą całe falangi zmęczonych obecnymi warunkami i zdegenerowanych pracowników sceny, którzy z całego serca pragną wyzwolenia z pęt cynizmu, nietylko sceny polskiej, ale i swoich egzystencji.

Em.

Tatuś poległ...

Ileż to tysięcy małych dzieci polskich w tych dniach te słowa powtarza! Maleństwo wymawia je bezwiednie, nie czując jeszcze całej ich grozy. Nie wie jeszcze, że jest sierotą, że ojca utraciło, który je kochał, pieścił. Dopiero w dojrzalszym wieku potrafi ocenić wartość posiadania ojca, gdy pocznie uczuwać brak jego serca i zazdrościć swoim rówieśnikom, że go posiadają.

Była wilja... Ale tatuś nie zasiadł do niej, pierwszy raz, jak dziecko pamiętać może, nie przyniósł zabawek i pierników, nie płatał figli, nie bawił maluśkich. Podarunków było mniej, jak zwykle, ale mamusia powiada, że wojna, że obecnie drożyzna... Czasami mamusia płacze, ale dziecko nie pojmuje powodu, płacze wespół z ukochaną mamusią, bo je za nią serce boli... Nie wie, że mamusia jest wdową, nie czuje tego, co to znaczy, nie przypuszcza, żeby ona miała odtąd w pocie czoła pracować na utrzymanie swoje i dzieci, kiedy dotychczas był względny dostatek. Nie wie jeszcze, jak ta ponura bieda wygląda, która w przyszłości jak białe widmo raz po raz do ich chaty ma zastukać, nie wie, że czasami może będzie trzeba się odzywać do litościwych serc o pomoc... Wszystkie przyszłe przykrości, zawody, gorycze są mu jeszcze nie znane...

Ten tatuś taki był dobry, tak kochający. Tego tatusia nikt w świecie zastąpić nie zdoła, choćby i przybrany ojciec. On nie znajdzie drogi do serca dziecka, tak jak rodzony ojciec, ani nigdy mu tyle nie potrafi okazać miłości...

Biedna dziecino! Los nienawistny złamał pączek twoich młodych dni, zatruł ci szczęście życia w samem zaraniu!... A tyś niewinna nie zasłużyłaś na to, żeby los tak nielitościwie się z tobą obchodził.. Ale nie ty sama znajdziesz się w takiem położeniu... Tysiące sierot polskich dziś łzy ronią nad utratą swego rodziciela!...

Bajki — nie bajki?

Jest wielu ludzi na świecie, którzy do tej pory nie chcą się pogodzić z myślą istnienia wielkich 42-cm. moździeży niemieckich. Dla przykładu przytaczamy tu w skróceniu artykuł zamieszczony w amerykańskiem piśmie „Scientific Am".

Jeżeli w prasie znajduje sie twierdzenia, jakoby Niemcy mieli 40-cm. ruchome działa — jakoby istniały szrapnele, które pękając mogą zniszczyć cały pułk — albo jakoby wynaleziono silnie eksplodujące granaty, których zabójcze gazy mogą całą kompanję kawalerji pozbawić życia, nie pozostawiając żadnych śladów na ciele -- to wojskowy cenzor wie dobrze, że większa część — jeżeli wogóle nie całość tej gadaniny — jest czystym idjotyzmem.

Że jednakowoż nonsensy te zbyt często znajdują dobrą wiarę — świadczą o tem liczne zapytania w „Scientific Am" — w których publiczność prosi o bliższe szczegóły tyczące się tych strasznych broni nowoczesnej wojny.

Przedewszystkiem trzeba sobie już raz jasno zdać z tego sprawę, że niemieckie 40-cm. ruchome działa oblężnicze wogóle nie istnieją i prawdopodobnie nigdy [illegible] nie będą. Jest rzeczą możliwą, że zbudowano kilka takich dział dla stałych fortów — lecz bez kwestji nie jako ruchome działa oblężnicze, które mogłyby wojsku towarzyszyć w pochodzie. Największym działem oblężniczem polowem — jest olbrzymia 27.5 cm. haubica. Była to nadzwyczajna zasługa firmy Kruppa, zbudować takie olbrzymie działo, mogące być wraz z wojskiem po szosach transportowanem i mogące być użytem na własnem swem rusztowaniu, bez konieczności jakichkolwiek specjalnych fundamentów. Działa te mogą niszczyć z odległości 8 — 11 klm. najsilniejsze twierdze.

Ciężar działa i jego amunicji rośnie w prostym stosunku do trzeciej potęgi jego kalibru. Wskutek tego działo ruchome o kalibrze 40-cm. musiałoby ważyć przeszło 100 ton (100,000 klg.) a jego pocisk około 1,000 klg. Najpiękniejszy Macadam — droga szutrowana czy też asfalt musiałyby pod takim ciężarem zostać zmiażdżone, nawet gdybyśmy już przypuścili, że znajdzie się taka siła, która potrafi poruszyć tego kolosa. Możliwe, że tak jest — ale my wątpimy.

Drugiem bałamuceniem jest bajka o gwałtownem niszczeniu całych oddziałów przez eksplodujące szrapnele. Nie jeden raz proszono nas o objaśnienie, jaki to jest granat który przy wybuchu wyrzuca deszcz kul, zabijając każdego człowieka w obrębie 70 mtr. Odpowiedzią na to jest — że takiego granatu jeszcze nie wynaleziono i nigdy się nie wynajdzie.

Szrapnel zawiera w sobie 262 kule, które (jeżeli naturalnie pocisk pęka w odpowiedniem położeniu ponad nieprzyjacielskimi oddziałami) — rozsypują się w obrębie wielkiej elipsy, o powierzchni 4500 stóp kwadratowych. Każdy więc sobie może obliczyć, że przy zupełnie jednostajnem rozsypaniu się kul, wypada jedna na 120 stóp kwadratowych, albo wyraziwszy się inaczaj, jedna kula na kwadrat, którego jedna strona wynosi 3,3 mtr. Jeżeli ostrzeliwane oddziały znajdują się w rowie strzeleckim, tak iż tylko głowy i ramiona są widoczne — i pomiędzy niemi są odstępy 90 cm. — to możliwość trafienia dla poszczególnej kuli w człowieka przedstawia się w formie ułamka 0,01 (1 : 100).

Jeszcze bardziej śmiesznemi są historyjki o uśmiercaniu całych grup ludzi wskutek wstrząśnienia i trujących gazów z pękającego pocisku. Nieraz już korespondenci wojenni przy opisie rowów strzeleckich albo ulic miasta po bitwie albo domów, które znajdowały się w ogniu granatów, opowiadali o trupach, których znaleziono bez najmniejszego śladu rany w dokładnie takiej samej pozycji, w jakiej stali czy też siedzieli w chwili, gdy ich ta zagadkowa śmierć zaskoczyła.

Przed niedawnym czasem podały pisma polskie i niemieckie opis właśnie takiej niezwykłej katastrofy w artykule pod tytułem „Smierć w Radymnie", gdzie korespondent opisuje fakt znalezienia trupów trzech oficerów siedzących przy stole w takiej samej pozycji, w jakiej zastał ich wpadający

przez dach granat i to bez najmniejszego śladu rany. Że wypadek taki jest zgodnie ze zdaniem „Scientific Am" wierutną bajką — nie potrzeba chyba specjalnie nadmieniać.

Możliwą jest rzeczą, że eksplozja granatu może spowodować głuchotę i chwilową utratę zmysłów; jeżeli jednak granat wybucha tak blizko, aby mógł zabić — to ludzie zostają samem już ciśnieniem powietrza odrzuceni na wszystkie strony.

Następnie wyrobiła sobie nasza publiczność zbyt przesadne pojęcie o skuteczności bomb rzucanych z aeroplanów lub statków powietrznych — celem niszczenia fortów — a nawet celem uszkodzenia miast.

Ośmielamy się twierdzić, że jedno jedyne niemieckie 27.5 cm. działo, wyposażone we wszystkie pomocnicze środki może w przeciągu jednej godziny spowodować większe zniszczenie w nieprzyjacielskich fortach — aniżeli cała niemiecka flota powietrzna w przeciągu całego dnia. *X.*

„Szpieg".

Okropna, dzika scena rozegrała się w tych dniach wieczorem w pobliżu kościoła świętego Mikołaja, prawie w samem centrum miasta Rheims.

Była już noc. Za dorożką zamkniętą biegło jakieś dziesięć czy dwanaście osób i usiłowało zajrzeć przez okna wozu do środka. Osoby te zawiesiły się o resory i stopnie wozu, tak, że musiał on zwolnić biegu. Przechodnie widząc to dziwne zjawisko zaczęli nadbiegać ze wszystkich stron. Wóz w jednej chwili został otoczony gęstym tłumem, pełnym ciekawości i pełnym milczenia, jak zwykle.

— Cóż tu się stało? — pytali ostatni z przybyłych, cisnąc się naprzód, by rzucić także okiem do środka wozu.

— Szpieg....

Słowo szpieg, wyszeptane narazie zaczęło obiegać wokoło. Tłum przybrał postawę groźną i rozwarł szeroko drzwi. W środku siedział jakiś młody blondyn, blady jak śmierć, który zwracając się to w jedną, to w drugą stronę, starał się coś wytłumaczyć Nikt słów jego nie zrozumiał i nie dosłyszał. Mnie wydawało się, że nieszczęśliwy ten młodzieniec wymawiał słowa: „russe, russe", ale nie mógłbym na to przysiądz.

Zdawał się być zahypnotyzowany wzrokiem tłumu. Nie miał tyle odwagi, by ruszyć się z miejsca, by wysiąść z dorożki. Musiał się czuć poprostu przybity do siedzenia przez te tysiące spojrzeń rozgoryczonego, rozwścieczonego tłumu. Musiał się czuć już skazany i nie miał widocznie najmniejszej nadziei, że będzie mógł uratować się. Rzucił się w tył siedzenia w dorożce i pozostał nieruchomo w tej pozycji. Zdał się zupełnie na los. Od tej chwili począwszy, życie jego nie było niczem innem, jak tylko powolnem konaniem. Nie wiem już dobrze, jak to się stało. Tragedja zaszła lotem błyskawicy. Żandarmi, którzy nadbiegli, nie mogąc przecisnąć się poprzez rozwydrzony tłum strzelili kilkakrotnie w powietrze z rewolweru, by tłum rozpędzić. Czy może właśnie te strzały, jakby echo wojny rozbudziły jeszcze bardziej namiętności tłumu? Czy może strach, że „szpieg" zdoła się jeszcze pod osłoną policji uratować? Dosyć na tem, że tłum uderzył z całą potęgą na bryczkę i bił bez miłosierdzia w stronę młodzieńca. Do tego wszystkiego uniosło się, jak burza, wycie narodu i wołanie: zabić go, zabić nędznika!

Nigdy nie zapomnę tego straszliwego wycia tysiąca głosów, tego wycia dzikiego, podobnego do zranionego lwa, tego ryku krótkiego urywanego a przecież rozlegającego się potężnie nad miastem Potem nastała znowu cisza. Plac został znowu ogołocony. A na środku leżał cały w krwi zbroczony trup młodzieńca, podejrzanego o szpiegostwo, trup ze skrzyżowanemi na obliczu rękoma, jakby zasłaniać się pragnął od ciosów, które nań padały. *L. B.*

Bywaj dziewczę zdrowe!

Bywaj dziewczę zdrowe ojczyzna mnie woła,
Idę za kraj walczyć wśród rodaków koła;
I choć przyjdzie ścigać jak najdalej wroga,
Nigdy nie zapomnę, jak mi jesteś droga.

Pocóż ta łza w oku, pocóż serca bicie?
Tobiem winien miłość, a Ojczyźnie życie!
Pomiętaj żeś Polka, że to za kraj walka,
Niepodległość Polski, to twoja rywalka.

Polka mnie zrodziła, z jej piersi wyssałem
Być ojczyźnie wiernym, a kochance stałym.
I chodź przyjdzie umrzeć w ojczystej potrzebie,
Nie rozpaczaj dziewczę — zobaczym się w niebie.

Z historji chleba.

Chleb nasz codzienny ma po za sobą wielotysiącletnią historję. W czasie tak długich lat zmieniał wielokrotnie swą postać. Przerabianie zboża na pożywienie ludzkie jest odwiecznym zwyczajem. Sposob, w jaki mielono w dawnej przeszłości ziarno na mąkę, był naturalnie nader prostym; wskazują na to wykopaliska z czasów przedhistorycznych tam, gdzie dawna Troja stała. Wszędzie tam znajdowano resztki chleba, a w szwajcarskich wykopaliskach dało się w nim stwierdzić ziarna przenicy i prosa. Na niektórych resztkach tego chleba widocznem jest zwęglenie skórki, co wskazuje, że tam chleb wypiekanym był albo w rozżarzonym popiele, albo też w rozpalonych kamieniach.

W starożytności chleb, wyrabiany z ciasta, miał postać talerzową. Tak też musiał wyglądać chleb starogrecki, wspominany przez Homera; poeta mówi o pieczywie, które służyło najpierw za talerz, a następnie je zjadano. Aż do naszych czasów zachowała się podobna forma chleba w niektórych niekulturalnych okolicach Egiptu i Azji. Który z ludów zaczął najpierwszy używać kwasu do wyrobu chleba, nie da się napewno stwierdzić; przypuszczają jednak, że to wynalazek Egipcjan. Biblja służyć może i pod tym względem za źródło. Daje bowiem dowód, że żydzi za czasów Abrahama nie znali jeszcze chleba na kwasie; ale już w prawodastwie Mojżeszowem znajdujemy przepis, że w czasie wielkanocnym nie wolno jeść chleba na kwasie.

Grecy nauczyli się prawdopodobnie wypiekania chleba od Fenicjan a sposób jego zmienili później wedle własnego gustu. Używali do niego głównie mąki pszennej, a przez dodatki mleka, sera oleju, wina, maku, pieprzu, wytwarzali rozmaite odmiany chleba.

Sztuka wypiekania chleba dostała się z Grecji do Rzymu, gdzie chleb poświęcono bożkowi Panowi. Stąd to pochodzi łaciń ka nazwa „panis". Najpierw wyrabiano go tylko po domach dopiero w drugim wieku przed Chrystusem zbudowano pierwsze specjalne piece do chleba. Rzymianie też podobno zaczęli do niego używać drożdży. Przez długi czas jedzono wyłącznie chleb żytni idopiero na początku 18-go wieku zaczął wchodzić w użycie chleb pszenny.

Wielki przewrót nastąpił w sztuce piekarskiej pod koniec 18-go wieku, kiedy wynaleziono pierwsze maszyny do gniecenia ciasta, które weszły w użycie najpierw w Austrji i Holandji.

Maszyny te, ulepszane ciągle w 19 tym wieku, mogły być zastosowane jedynie przez wojskowe piekarnie i wielkie fabryki chleba z powodu swej drogości, podczas gdy dzisiaj znaleźć je już można w każdej piekarni. Ten przyrząd wyrządził wielkie przysługi tak piekarzom jak i konsumentom. Piekarze uwolnieni zostali od dłuższej uciążliwej pracy; konsumenci zaś mają pewność, że przenoszenie chorób przez użycie chleba, czego obawiać się było trzeba przy zagniataniu rękoma, jest prawie wykluczonem.

Praca została przyspieszoną, a dzisiaj z pomocą maszyny do zagniatania piekarz bez trudności w kwadrans może wyrobić 75 kilogramów chleba. Ma to jeszcze i tę korzyść, że ciasto ugniecione jest przez maszynę równo i czysto.

Noc wśród wilków.

Wstrząsającą scenę z pól bitwy w Królestwie Polskiem opisuje list pewnego oficera, którą za pismami angielskiemi podaje „Dziennik Cieszyński":

Zaczynał się zmierzch — opowiada ów oficer. — Nie czułem głodu, chociaż leżałem tu już od wczesnego ranka, ale pragnienie dokuczało mi nieznośnie. Przypomniałem sobie dokładnie każdy szczegół bitwy aż do chwili, kiedy zostałem trafiony odłamkiem gra-



Widok Konstantynopola, stolicy Turcji.

Konstantynopol, dawniejsze Bizancjum, słowiański Carogród, po turecku Stambuł, leży w malowniczem położeniu. Samo miasto jest bardzo brudne. Konstantynopol ma miljon z górą mieszkańców. Ku stolicy Turcji zdąża flota angielsko-francuska, usiłująca sforsować cieśninę Dardanelską.

natu, który obok mnie eksplodował. Szturmem posuwaliśmy się przez wielki pusty kraj. Znowu słyszałem stękanie umierających, widziałem postacie upadające pod ogniem nieprzyjacielskim. Słyszałem jak moi ludzie krzyczeli, przypominam sobie, jak sam padłem twarzą naprzód. Co się potem stało, nie wiem. Gdy się zbudziłem, leżałem na pobojowisku, jedyna żyjąca dusza na tem opuszczonem polu, ciągnącem się w nieskończoność, gęsto pokrytem trupami. Czułem, że byłem ranny, ale jak się później pokazało, nie ciężko i podpierając się na niezranionej ręce, patrzyłem na pobojowisko i na ciemniejący horyzont, na którym bladła już ostatnia zorza. Z dnia została jeszcze cienka smuga światła, a i ta powoli znikała. Nademną wisiały ciężkie ciemne chmury, tak nisko, jakby mnie chciały pochłonąć. Padło na mnie przygnębiające uczucie, było mi tak, jakby ludzie o mnie zapomnieli, albo rozmyślnie mnie tu zostawili samego. Wstydzę się teraz, że byłem zrozpaczony, ale była chwila, kiedy złamany na duchu zapłakałem. Myślałem o tem, że już nigdy nie zobaczę moich towarzyszy. Podpierając się prawą ręką podniosłem się coraz wyżej, aż usiadłem. Czułem trochę zawrot głowy, ale mimo silnego bólu w ramieniu i mimo wielkiego upływu krwi stanąłem na nogach i opierając się na szabli, wlokłem się naprzód, zataczając się jak pijany. Chciałem dotrzeć do ciemnych gąszczy, gdzie schroniły się nasze wojska przed rozpoczęciem bitwy. Bardzo powoli posuwałem się naprzód i musiałem często przystawać.

Wreszcie dotarłem do pierwszej grupy krzaków; ale tu nagły strach mnie wstrzymał. Z wielkiego oddalenia — tak mi się przynajmniej zdawało — dochodziło wycie wilka. Brzmiało to niezwykle melancholijnie i groźnie w tę cichą noc zimową. Inny wilk odpowiedział takim samym długim, wstrętnym tonem, ale już bliżej przy mnie, a potem słyszałem naokoło siebie wycie bez przerwy, coraz głośniejsze i z każdą chwilą straszniejsze. Nie jestem tchórzem. Jestem dobrym myśliwym i wiele wilków zabiłem na polowaniach; ale tego co tej nocy słyszałem na pobojowisku, nigdy nie zapomnę. To ponure, dzikie wycie, otaczające mnie jak łańcuch, podchodziło coraz bliżej, wprost ku środkowi koła, w którem ja stałem. Zaledwie jeszcze oddychałem, słysząc ten piekielny koncert. Widziałem jasno, że niema dla mnie ratunku, gdy mnie znajdą. I nagle podbiegłem — jak to się stało, sam dziś nie miem — do trzech, czterech krzaków, na skraj lasu rzuciłem się na płask. Byłem zdecydowany bronić się do ostatka. Miałem nabity rewolwer i szablę.

Coraz więcej zbliżały się wilki napełniając noc swojem wyciem. Były już na skraju lasu. W ciemności widziałem ich straszne cienie między drzewami. Przychodziły z lasu z najrozmaitszych stron, skupiały się w wielkie stado, i tak stały kilka minut. Potem zawył inny wilk, gdzieś daleko od pobojowiska; odpowiedziały mu inne i teraz stado podreptało dalej tuż obok gąszczy. Myślałem, że każdy, który mnie mijał, skoczy mi do gardła, ale żaden nie troszczył się o mnie. Spokojnie pobiegły, a było ich nieskończenie wiele, na pole, gdzie leżały ciała...

Na drugi dzień po wschodzie słońca, podniesiono mnie nieprzytomnego. Znalazł mnie patrol. Gdy wrócę w pole, nie przestraszy mnie najgorętsza bitwa, ale gdybym miał jeszcze raz taką noc przeżyć, to wyznaję, że oszalałbym z pewnością.

Angielski zamek.

(Zdarzenie prawdziwe, w którem rzeczywistość wzoruje się na fantazji Marka Twaina).

Przy drzwiach swojego mieszkania miałem zwykły zamek, który doskonale funkcjonował. Przez kilka lat zamykałem go i otwierałem bez żadnej przygody, a żadnemu złodziejowi również nie przyszło na myśl dokonać u mnie włamania gdy byłem nieobecny; aczkolwiek świętości mej własności prywatnej i mych praw do niej bronił tylko zamek zwykły.

Pewnego razu jednak przypadek chciał, że spotkawszy na przechadzce przyjaciela, w jego obecności wyjąłem z kieszeni klucz od tego zamku.

— Mój kochany, cóż to za olbrzymi klucz?

— To od mojego mieszkania.

— Od twojego mieszkania! Bój się Boga, to ty, jak widzę, pokaźno, masz przy drzwiach mieszkania zwykły, ordynarny zamek! Jakże ci nie wstyd nosić przy sobie takie kluczysko, jakby od podwoi niebieskich? A przytem, jakież to bezpieczeństwo zapewnia, przecież taki zamek każdy otworzyć może pierwszym lepszym jako tako dobranym kluczem! Każcie sobie zaraz dorobić zamek angielski.

Do arbitralności swojego przyjaciela przyzwyczaiłem się i w znacznej mierze jej ulegałem. Skromną próbę opozycji z mej strony: uwagę, że to nawet niezbyt lojalnie w dzisiejszych czasach wojny z trójporozumieniem nabywać zamek angielski, przyjaciel mój zbył lekceważącem machnięciem ręki. Nie było co się opierać.

Zaraz na drugi dzień nabyłem zamek angielski. Kupiec, który mi go sprzedawał, zaręczył, że niewłaściwym kluczem nikt go otworzyć nie zdoła. Było to cudo skomplikowania i precyzyjności zarazem. Potwierdził mi to i ślusarz, który go we drzwi zakładał, a który otworzył go i dobrze zbadał, a później i mnie łaskawie okazał. Siedem sprężyn, tyleż „cuhaltów" (nie wiem, czy to inaczej, po polsku, nazwać można), ósmy rygiel, masa dźwigni małych, większych, mniejszych, mosiężnych, stalowych, kółek, istny mechanizm zegarowy. I działał też, jak zegarek. A kluczyk, istne pieścidełko: stalowy, płaski, o niezliczonych ząbkach i wrębach, maleński, również jak od zegarka; dwa włożyłem do kieszonki od kamizelki. O ich wielkie rozmiary już mi przyjaciel nie będzie robił wyrzutów.

Po założeniu tego zamku, wychodząc, zamknąłem go z prawdziwą satysfakcją: obrócił się jak w maśle, leciuteczki szczęk i już mur. Bywajcie, panowie złodzieje! Mam zamek angielski, którego nie można otworzyć byle wytrychem.

Przez cały dzień cieszyłem się nowym moim zamkiem. Przyszedłszy nad wieczorem do domu, nie mogłem sobie odmówić satysfakcji zamknięcia drzwi z wewnątrz nowym kluczem, chociaż zwykle wystarczała mi zasuwka. Ale

taki był miły, subtelny szczęk płaskiego kluczyka w angielskim zamku!

Późnym wieczorem dopiero, koło dziewiątej zabrałem się do wyjścia z domu w ważnym interesie. Ubrany już, gotów zupełnie, wkładam do nowego, angielskiego zamku mój mały, płaski kluczyk, aby sobie drzwi otworzyć. Ale—co to? Kluczyk nie chce się obrócić! Próbuję go zrazu lekko, delikatnie, później mocno, coraz energiczniej, nie chce! Obracam powoli, słysząc, jak precyzyjnie robi ćwierć obrotu, ale dalej ani rusz; zamek i kluczyk stawiają opór z prawdziwie stalową energją. Kupiec mnie zapewniał, że zamku nie można otworzyć niewłaściwym kluczem, ale żeby właściwym, własnym... Czyżby? Patrzę, ten sam, wyjmuję drugi, porównywam, jak najwłaściwsze. Dla pewności próbuję otworzyć zamek drugim kluczykiem, nic z tego! Co za przyczyna u licha?!

Na daremnych próbach upływa mi kwadrans. Kwestja z interesującej teoretycznie staje się praktycznie paląca. Jak ja tu wyjdę? Daremnie wstrząsam klamką z całej siły, drzwi mocne, solidne, zamek jeszcze solidniejszy — stalowy, angielski! Stoję przed drzwiami i patrzę na nie, na mój nowy zamek angielski z rozpaczą skazańca, za którym się nagle po raz pierwszy zamknęły podwoje więzienia.

Nagle na korytarzu słyszę łoskot obok otwierających się drzwi. Przytykam oko do maleńkiego w moich drzwiach okrągłego „Judasza" czyli bezpiecznika, istotnie to sąsiad wychodzi. Jakkolwiek nieznajomy—sprowadził się przed kilku dniami—wołam za nim rozpaczliwie:

— Panie, panie! Proszę pana!!

Zbiega szybko po schodach. Co u licha, czy nie słyszy? Walę we drzwi pięścią, powtarzając wezwania.

Usłyszał. Wraca się. Przepraszając, wyjawiam mu w krótkich słowach mój kłopot.

— Panie, ja nie mam czasu, zaraz tu panu stróża przyślę — rzuca mi i szybko odbiega.

Stróża, bardzo dobrze, najlepiej. Czekam. Powoli wdrapuje się na górę stróż, flegmatyczny wybawca. A mnie się tu ziemia pod nogami pali, tak mi pilno. Nareszcie.

Przeze drzwi wyjaśniam mu dokładnie, co zaszło. Słyszę, jak się drapie w głowę. Cóż on poradzi! Przez skrzynkę do listów przesuwam mu kluczyk, mały, ładny, płaski kluczyk i proszę, aby próbował otworzyć z tamtej strony.

Próbuje równie bezskutecznie, jak ja od wewnątrz. Tarmosi drzwi, tak samo bezskutecznie

— Idźcie po ślusarza! — krzyczę do niego.

— Po ślusarza?... A gdzie ja go teraz znajdę?

Istotnie. Blisko dziesiąta, sobota. Każdy uczciwy ślusarz, albo już śpi albo raczej przepija tygodniowy zarobek; w każdym razie opuścił już pracownię i przeważnie niema go w domu. Niema jednak innej rady. Wreszcie stróż przypomina sobie, że niedaleko mieszka jeden i idzie „próbować", czy go nie znajdzie.

Stanowczo mam szczęście. Nie upływa pół godziny, a stróż przychodzi z wynalezionym ślusarzem. Mnie od stania przed drzwiami ścierpły już nogi, ale odgłos ich kroków na schodach wlewa we mnie nowe siły.

Nasłuchuję. Stróż ze ślusarzam prowadzą ożywiony dyskurs. Dla upewnienia się, czy to nie jaki przemijający kaprys zamku, ślusarz również próbuje kilkakrotnie przekręcić kluczyk. Ale zamek nie słucha nawet jego, swego przyrodzonego władcy.

— I cóż? — przerywam te nadaremne usiłowania.

— Ano nic! Nie chce się kręcić.

— Niech mi pan otworzy wytrychem, bo muszę wyjść.

— Kiedy ja nie mam takiego wytrycha, coby otworzył ten zamek.

Prawda! Zamek angielski, specjalny, skomplikowany!

— Więc jakże będzie? — pytam.

Zamiast odpowiedzi ślusarz i stróż zaczynają wspólnemi siłami wstrząsać drzwi w posadach. Gdy to nie pomaga puszczają w ruch siekierę, dłutko, biją, podważają — drzwi skrzypią, trzeszczą, wreszcie otwierają się gwałtownie, a ja omało nie padam na ziemię, niemi uderzony.

Jestem wolny nareszcie! Ale jak tu odejść, drzwi wywalone, obcy człowiek, stróż, dokonawszy swego dzieła, odszedł. Wreszcie ciekawy jestem, co się stało memu angielskiemu zamkowi.

Zaraz będę miał odpowiedź! Ślusarz już go wprawną dłonią wybija z drzwi, jakkolwiek solidnie jest tam osadzony. Do tego doświadczonego zawodowca można mieć zupełne zaufanie. Nonszalancja, z jaką odłupuje on drzewo moich drzwi, obtłukuje mur, jest zachwycająca i imponująca zarazem. Nic nie da się porównać z pewnością siebie i energją, z jakiemi operuje on młotkiem i dłutkiem przy nowym zamku, który szczęka pod jego gwałtownemi uderzeniami. Mechanizm zamku wydawał mi się taki subtelny i złożony, ale dla niego niema on żadnych tajemnic. Przekręca, postukuje, podważa, zaraz poznamy przyczynę.

— No i cóż? — pytam, widząc, że zamek zupełnie rozebrany.

— „Zaskoczył" — odpowiada mi lakonicznie.

Nie zupełnie rozumiem, ale bliższych wyjaśnień ślusarz udzielić mi nie raczy. Ano, uzbrójmy się w cierpliwość i czekajmy.

Znowu szczęka, stuka, śrubuje, składa, kręci, wreszcie kluczyk już obraca się szczęśliwie. Zamek złożony, włożony do drzwi, przykuty, przyśrubowany, zaraz spróbujemy, jak się zamyka i otwiera. Nauczony doświadczeniem dmuchać na zimno, nieśmiało wyrażam do ślusarza obawę, że kluczyk może znowu przekręcić się nie zechce i zostaniemy obaj zamknięci. Ślusarz z olimpijską wyniosłością rusza ramionami:

— Przekręci się. Zresztą ja się tego nie boję!

Ulegam. Ślusarz tryumfalnie zamyka drzwi, przekręca klucz. A co. Zamknięte. Teraz otworzymy...

Co to? Klucz się nie obraca! Ani rusz! Przeklęty, chytry „angielski" zamek (wiadomo, że angielscy politycy wywołali obecną wojnę światową, ale tak chytrze, tak krytym sztychem, że im tego absolutnie dowieść niemożna) póki nie był wśrubowany we drzwi, otwierał się i zamykał, gdy poczuł się założonym ostatecznie, przestał funkcjonować. Teraz jesteśmy zamknięci obaj, ja i ślusarz, bez ratunku!

Co to będzie? Z zewnątrz niema nikogo, ktoby drzwi pchał (otwierają się one do wewnętrz) i podważał, aby odsunąć zasuwę podłużną. Będziemy obaj siedzieli całą noc, a dopiero północ.

Ale ślusarz nie na darmo oświadczył, że się „i tego nie boi": Istotnie on się nie bał. Ze wzniosłą pewnością siebie, ustawia rusztowanie z dwóch krzeseł i wstępuje na nie z młotkiem i dłutem. Obserwuję go z niepewnem zdumieniem. Ach, to człowiek szybkiej decyzji. Kilka ciosów młota i dłuta, nadedrzwiami w murze czerni się spory otwór, zasuwka jest wysunięta, drzwi znowu otwarte. Jednocześnie na schodach słychać kroki stróża, zaniepokojonego, że ślusarz tak długo nie wychodzi.

Zamek na nowo wybity ze drzwi. Nowe oględziny. Długie majstrowanie, przez ten czas stróż już rozespany, ale zwolna odzyskujący świadomość, z wyrzutem wskazuje mi dziurę nadedrzwiami, a ja wskazuje ręką na kieszeń. Wreszcie rozebrawszy i złożywszy zamek ze trzy razy, ślusarz już mniej pewnym głosem zapytuje:

— Czyby pan dobrodziej nie wolał zwykłego, gładkiego zamku?

— A czy pan tego nie może naprawić?

— O, ja mogę, ale... tamten pewniejszy. Ja panu dobrodziejowi zaraz jutro zrana ten drugi przyniosę.

— No, dobrze, a ileż to będzie kosztować?

— Ile? Niedużo. Razem, że niby tę całą noc u pana dobrodzieja strawiłem, jedno otwarcie drzwi, naprawa angielskiego zamku, złożenie go, drugie otwarcie drzwi, druga naprawa angielskiego zamku, drugie tymczasowe założenie, nowy gładki zamek z założeniem — 50 koronek... No i „struplowi" pan dobrodziej coś da, że niby tyż nie śpi i tę dziurę nadedrzwiami zamuruje...

Pięćdziesiąt... plus koszt angielskiego zamku, teraz pozostałego mi tylko na pamiątkę i wynagrodzenie stróża — nie, wysokość tej sumy jest stanowczo zbyt przykra w tej postaci. Przetłómaczyłem to na język monetarny angielski i zapisałem w rozchodach pod rubryką „wydatki nieprzewidziane": Zamek angielski — trzy angielskie funty szterlingów.

Na drugi dzień już miałem zwykły, gładki zamek, który swobodnie zamykam i otwieram ordynarnym, wielkim kluczem. Boję się tylko spotkać mojego przyjaciela, który niechybnie zwymyśla mnie za uparty konserwatyzm.

St. M.